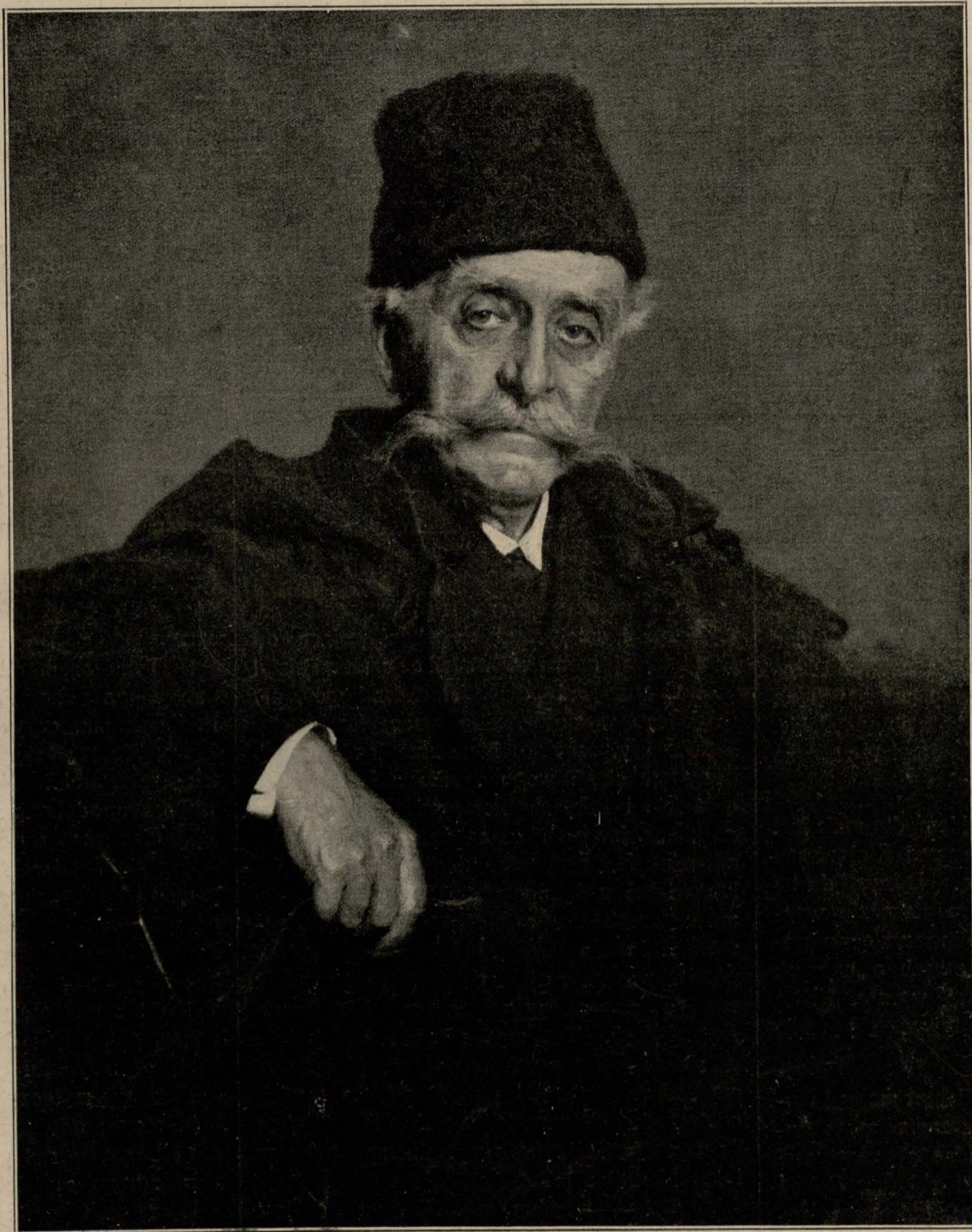


TYGODNIK ILLUSTROWANY



PORTRET KSAWEREGO Hr. ZAMOYSKIEGO
Z wystawy „Zera” w Krakowie.

KAZIMIERZ POCHWALSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

ROZMOWY LITERACKIE.

ESTETYKA PANA KLEJNOTA.

Jak dostał się pan Klejnot do „Rozmów literackich”? Następujące karty objaśniają dokładnie, że Klejnot gra w społecznej literaturze polskiej niepoślednią rolę radcy estetycznego. Może tylko nie każdy z nas zaznał się z jego osobą, więc należy mu się wzmianka biograficzna, choćby taka, jak w nowych, wielce gościnnych encyklopediach.

Fryderyk Klejnot, syn Arona Kleinod, wybitnego ekonomisty niemieckiego, urodził się roku 1859, we Wrocławiu, ale od najmłodszych lat zamieszkał w Warszawie, gdzie oddawna stanął w pierwszym rzędzie postępowych i kulturalnych. Wytrwałą pracą zdobył znaczny majątek, a ponieważ próbował wszystkich niemal sposobów nabycia pieniędzy, zna się, można powiedzieć, na wszystkim: na gospodarstwie rolnem, bo kupił z licytacji folwark, w którym obecnie spędza lato z rodziną; na architekturze, bo zbudował wielką kamienicę, w której zajmuje pierwsze piętro gotyckie, podczas gdy inne, w stylu berlińskiego Odrodzenia, wynajmuje „solidnym” lokatorom. Zresztą czytywał zawsze wiele dzienników, a nawet grube książki, asystował przy lekcjach swych dzieci i nabył tym sposobem resztę poluru i wykształcenia, które go postawiły ostatecznie w pierwszym rzędzie ludzi kulturalnych. W każdej dziedzinie, praktycznej czy transcendentalnej, ma pan Klejnot tak wyrobione zdanie, że w podziw wprawia najprzód rodzinę, potem znajomych, przychodzących na obiady, wreszcie i szersze koła obywatelskie. Wpływ mądrości pana Fryderyka zaczyna promieniować rozlegle.

Głównym jego wdziękiem dla mnie jest jednak jeszcze inna zaleta: pan Klejnot ma duszę nawskroś artystyczną. Doszedł do tej sytości ciała i umysłu, która nakazuje wyższym jednostkom szukać odpoczynku po pracy w rozmyślaniach i rozmowach o „naszych potrzebach literackich”, jak się wyraża. Nasze zaś potrzeby literackie wyływać się zdają z jego potrzeb...?

Bądź co bądź, pan Klejnot ma sąd wygimnastykowany, do wygłaszania zaraz gotowy, a tak trafny, że zgadza się zazwyczaj z *Gazetą Handlową*, a nawet z *Młodą Polską*, czyli z pokoleniem literackim, które sam zaszczyca tem pięknem nazwiskiem. Nic dziwnego, że przywykłem liczyć się ze zdaniem pana Fryderyka, że rozmawiam z nim, gdziekolwiek go spotkam, a spotykam go często.

Oto naprzykład pan radca estetyczny skończył przedwczoraj ostatni tom „Chłopów” Reymonta, niestety, już po wydrukowaniu pierwszej mojej „rozmowy” w *Tygodniku*.

— Kapitalna rzecz! — zawołałem, spotykając pana Klejnota — epepeja chłopka! Reymont wypowiedział się w całej pełni. Szczęśliwy człowiek!

— Nie o to chodzi — odrzekł z tajemniczym uśmiechem — ale czy epika homerowska w naszych czasach wystarcza?

— Jakto? — Nie mówię o Homerze, ale o Reymoncie. Jego epika jest nowa i porywająca.

— Jednak człowiek dzisiejszy, wykarminiony kulturą tyłu wieków, przesiąknięty myślą, spragniony syntezy... żąda czego innego.

Pan Fryderyk zadumał się, jakby coś przypominał. I mówił dalej, magistralnie:

— „Chłopom” brak wielkiego słowa, jakiego od nich można się spodziewać, jako od żywiołu i od potęgi dziejowej.

— Ależ ja mówię o literaturze, panie Klejnot! o „Chłopach” Władysława Stanisława Reymonta!

— Wiem, wiem... on należy do ewolucji naturalizmu.

— Przecie przed chwilą nazywał go pan homerowskim epikiem?

— Tamto temu nie przeszkadza. Jest jeszcze pierwszorzędnym znawcą i malarzem mechanizmu ustroju ludzkiego, indywidualnością nawskroś impresyonistyczną, o zmysłach ogromnie bujnych, obdarzonych energią niesłychanie rozlewną...

Ja te słowa, słowa i słowa gdzieś czytałem... z pewnością nie w Hamlecie. Nie mogąc jednak wyrozumieć, co pan Klejnot trzyma o Reymoncie, zapytałem po chłopsku:

— Więc podobają się panu „Chłopi”, czy nie?

— Oceniam ich — odpowiedział poważnie.

Co za ocena wszechstronna! społeczna, utylitarna i estetyczna! aż zdumiewająca od skrupulatnej sprawiedliwości! aż czarna i biała!

Czasem, gdy długo słuchasz kogoś, nie żałującego wymowy, albo przeczytasz gruby kodeks krytyczny o literaturze społecznej, doznajesz chwilowego zaniku swych pojęć o istocie i zaletach literatury. Zdaje ci się, że niema już poetów, ani indywidualności w piśmiennictwie, jest tylko długi szereg mniej lub więcej uzdolnionych filozofów społecznych: monistów, ewolucjonistów, naturalistów i innych jeszcze lokwistów, którzy przyszli wszyscy pod sąd najmędrszego z nich, właśnie autora tego kodeksu, lub twego „rozmówcy”. Ten mąż ustawia ich, wiąże w szwadrony i pułki, rozdaje rangi i stwarza rodzaj armii, którą prowadzi do swoich celów, nie od razu widocznych. Po długim dopiero słuchaniu lub czytaniu spostrzegasz i kombinujesz:

Aha — zatem pan Klejnot nie jest szlachcicem, jest nowym Polakiem i kupcem. Do takiego dochodzisz wynalazku w literaturze ojczystej!

Pan Klejnot nie lubi Sienkiewicza, bo to poeta szlachty, kaprysi w zdaniu o Kopnickiej, bo nie dotrzymała dawniejszych

zapowiedzi na socyjalistkę, waży w twórczości Prusa, Orzeszkowej, Żeromskiego, Sieroszewskiego, nawet... Wyspiańskiego ciężar gatunkowy ich przekonań społecznych. Jakie to są indywidualności artystyczne, co wnieśli do literatury — o to panu Klejnotowi mniej chodzi. Oblicza głównie ich wartość dla postępu świata, w którym będzie Klejnotom najprzyjemniej, najwygodniej, najkorzystniej. Z tego punktu widzenia oglądana literatura, jest zdumiewająco inna, niż nam, zwykłym Polakom, a nawet hellenistom i humanistom, niegdyś się podobała. Inne ma cechy, inne podziały, nazwy i piękności.

We wszystkich objawach życia naszego spotykamy coraz częściej dusze pokrewne Klejnotom; miewają nazwiska rdzennie polskie... bywają nawet hrabiami. Nie o to chodzi, że pan Klejnot urodził się Żydem. Są Żydzi, którzy przynoszą zaszczyt polskiemu piśmiennictwu. Chodzi mi o żydowską etykę, filozofię i estetykę, przenikające coraz głębiej życie nasze społeczne i tego życia kwiaty: sztukę, literaturę. Mojem zdaniem, nie jest to postęp, ale spalenie myśli narodowej. Nic dziwnego, że Żydzi filozofują po swojemu, odznaczają się swoim gustem. Tam, gdzie ich mało, przebrzmiewa ich zdanie, jak głos nie decydujący. U nas, wobec tak ogromnego procentu ludności żydowskiej, prosto obowiązkiem staje się obrona tradycji i cech naszych narodowych od możnego wpływu skonfederowanego i apostołującego Izraela.

W literaturze ten obowiązek istnieje zarówno, trzeba tylko dobrze go zrozumieć. Nie karać osób za ich rasę i wyznanie, lecz z ogółu piśmiennictwa wyplenić żydowskie cechy, bez względu na rasę pisarza.

Tymczasem odbiegłem od naszego sympatycznego pana Fryderyka Klejnota. Pan Fryderyk ma, oczywiście, przyrodzoną swą duszę, ale tak się stara o nieparcyalność, tak się stara!... Nie poznałbyś tej duszy w jego upodobaniach.

Idąc za wzorem swoich mistrzów, trzymając się solidarnie z zastępem swoich „sympatyków” różnych zresztą wyznań, pan Klejnot przepada np. za Wyspiańskim, kocha Żeromskiego, niezbyt surowo karcąc nawet swych pogromców, jak Klemens Junosza. Tylko nie mogłem, po długim zresztą z nim obcowaniu, dojść do wniosku, czy pan radca estetyczny lubi choć trochę — literaturę?

Gdy przytoczy wiersz, to zwykle z błędem rytmu; gdy przeczyta książkę, która aż pachnie sztuką, aż prosi się o dobre słowo wdzięcznego czytelnika, zbywa ją zazwyczaj — kategorią filozoficzną, i to dowolną.

Jedno tylko można twierdzić napewno: pan Klejnot jest bardzo ciekawym człowiekiem — i to w obu znaczeniach tego przymiotnika: czynnym i biernym. Ciekawy jest czynnie: musi wszystko wiedzieć. Czego on nie wie?! Nie tylko co, kiedy i jak kto napisał u nas od „sześćdziesiątych lat” przeszłego stulecia, aż do dziewiątych (??) lat bieżącego, ale także, co w tym czasie pisali zagranicą. Zagranicznych pisarzy: Zolę, Maeterlincka traktuje po kapłańsku, jak dogmaty; służą mu za szuflady, w których mieści





SALOME (z wystawy „Zera” w Krakowie)

JACEK MALCZEWSKI

odpowiednie kategorie pisarzy polskich, potraktowanych swobodniej, po ojcowsku, przeciwczonych lub pogłaskanych według zasługi. Że mu się zdarzy—jak i największym znawcom naszej literatury—wziąć spotkany zniemacka wiersz Słowackiego lub Fredry za utwór nowożytny i marny—to już obca intryga.

Ciekawy biernie jest pan Klejnot w wyższym jeszcze stopniu. Nigdy nikt z jego rasy tak się nie rozgadał o literaturze polskiej, nikt tyle nie wyśpiewał ze swych przekonań, zwanych estetycznymi. Z niego, jako z dokumentu, studyować można nową estetykę. Nie trzeba się tylko pomylić w sposobie zażywania tej obcej mądrości.

Naprzykład pan Gawłowski, człowiek skądinąd rozsądny, bywały w szkołach, zawołany polityk i nie pozbawiony czułości na piękno literackie, przytacza mi już od kilku lat zdania pana Fryderyka Klejnota o literaturze polskiej. Gdyby pan Klejnot wydał słownik pisarzy polskich, w którym użytkowałby swą rozległą erudycję co do chronologii dzieł i autorów, a powstrzymałby swą teoretyczną, taki słownik mógłby się znaleźć w każdym domu polskim. Ale patrzeć na piśmiennictwo nasze przez szkiełka pana Klejnota? Uważać go za następcę Mochnackich albo Klaczków? A nawet dawać mu prym przed współczesnymi, dobrze czującymi ducha literatury naszej krytykami? Wstydź się, panie Gawłowski!

WIKTOR POPLAWSKI:

ŻAŁ.

Przez szare omglone porankiem ulice
do kościoła
idą biało ubrane dziewczęta.

Do pierwszej Komunii idą sptonione...

Stanąm za rogiem

i patrzę...

Srebrny głos sygnaturki
z wieżyc kościelnych woła.

Jeszcze me serce pamięta,
jak szło, miłością sptonione,
cichym, czerwcowym porankiem
łączyć się z Bogiem.

Żał mi tych główek dziewczęcych, tak żał...

☞

KRÓLESTWO

A oto drzwi, których nikt nie otwiera,
a za nimi park starożytny
snuje niewyraźne cienie;
krynica—śmieszka szczerą—
pustotą przerywa dostojne milczenie.
A oto zamek, którego nikt nie odwiedza.
Królowy w nim mieszkają:
istne motyle;

trawą zarasta nie używana miedza,
i zwiędłych kwiatów smęcą się badyle.
A oto lampa gasnąca płonie na wieży,
a za nią cień burgrabi
samotny chyłkiem przemyka;
śmieje się wiatr z tęsknoty samotnika.
Kiedy to wszystko było?

We mgle, we mgle czas bieży...

☞

MUSICA SACRA.

Melodya słów,
płynąca od ołtarzy
w ciche, zakurzone konfesyonały;
na chórze
staroświecki organ marzy
o wypoczynku.
Żółte świece woskowe
śpiewają chorały
serc, gasnących na chwałę wiary.
Dewotki modlą się
razem z kadzideł wonnymi dymami.
Kościelny przygarbiony, stary
w zardzewiałe dzwonki dzwoni.

Żali naprawdę, Panie, jesteś z nami
w tej ostatecznej ustroni?

☉



MADONNA ZE SZPAKIEM I Św. JAN (z wystawy „Zera” w Krakowie)

VLASTIMIL HOFFMANN

JADWIGA MARCINOWSKA.

VOX CLAMANTIS.

OJCZYZNA.

Była w dziejach ludzkości chwila, wstrząsająca jej posadami do głębin niedocieczonych wtedy, ani dziś, ani jeszcze jutro. Zdarzenie, którego wszystkich dalekich skutków aż potąd nie możemy obliczyć. Błyskawica, rozdzierająca ciemności stworzonych rzeczy, tak że ukazały się w mgnieniu odległe światy, ku którym jest przez ciąg wieków droga.

Wokoło takiej chwili musiało być podniesienie poziomu, to też istotnie wszystko, cokolwiek bezpośrednio przed nią lub po niej nastąpiło, posiada niezaprzeczone znamie wielkości.

Gdzież i przed jakim faktem prolog, podobny temu, gdy występuje w krótkich, ale nieporównanych rysach historia Poprzednika, duchowego olbrzyma, Chrzciciela?

Jan zalicza się do największych postaci w dziejach ludzkiego cierpienia i pragnienia. Widziany poprzez odstępy całych stuleci, wydaje się zawsze posągiem ogromnym, ulanym z niewzruszonego spiżu.

Cierpienie jego twarde. Duszę jego, o której nas doszły nieliczne, ale niezapomniane wieści, wyczuwamy dziś, jako srogą. Jednakże nie masz w tem żadnych odstręczających i mar-

towych znamion, jest to bowiem srogość wezbranej tęsknoty i wiekowego bólu.

W tej spiżowej piersi paliło się płomień, i dlatego wszystek człowiek stał się wyrazem niestrudzonego, niezgłoszonego w przestrzeniach czasu wołania „vox clamantis”...

Ewangelia i tradycja przyoblokły mistycznym światłem narodziny Chrzciciela; matka przyroda kolebkę tego, posępnego później, proroka otoczyła słodyczą ciszy, zieloności i kwiecia.

Były uczone spory o nie nazwane w Piśmie „miasto judzkie”, ojczyznę Wołającego. Wymieniano kilka miejsc, a pomiędzy nimi: Machaerus, Hebron, Betleem i samą Jerozolimę. Jednakże aż potąd najwięcej dowodów, a również powaga przechowywanych ustnie podań przemawia za położoną wśród wzgórz łagodnych mieściną Ain-Karim, dla chrześcijan: „Św. Jan w górach”.

Już w epoce pierwszych wojen krzyżowych nazywano to miejsce „in Montana”. Król Baldwin I posiadłość, objętą tem imieniem, nadał rycerzom zakonnym św. Jana w Jerozolimie. Baldwin III nadanie to potwierdził.

Miasteczko znachodzi się o dwie godziny pieszej drogi w kierunku południowo-zachodnim od Jeruzalem. Okolica falista. Jeżeli dzień jest piękny i bezobłoczne niebo, następuje przedziwne zestawienie kolorów.

Oto pod głęboko błękitnym stropem roztoz kamienista, szczerobiała, wznosząca się

półkregami, na których wązkie smugi odsianych, jasno-zielonych pól.

Wogóle koloryt Palestyny jest wielce odrębny; narazie działa uderzająco; potem wywołuje w nas zapatrzenie, w końcu poczyna być urokiem.

Wiosenne niebo bywa tutaj gorąco błękitne, a jednak nie szafirowe; barwy nigdzie nie dochodzą do natężenia, do bogatego zespołu. A przecież światło słoneczne tu wielkie, ulewne, można powiedzieć, srogie. Że w tym zalewie występuje przed oczy świat nie tęczyowy, a tylko jasny, blade zielony i biały, to właśnie stanowi niespodziankę, odrębność i urok—trochę smutny.

Dzisiejsze Ain-Karim liczy jakieś 2,500 mieszkańców, przeważnie muzułmańskiego wyznania. Uliczki niezmiernie wązkie wiją się i przeciskają pomiędzy domami, które są niewielkie, kwadratowe, o płaskich dachach, wszystkie z szarego kamienia, całkiem podobne do siebie.

Ożywcze wrażenie sprawia bijące wśród miasteczka źródło. W tym bezrolnym kraju każdy strumień staje się błogostawieństwem dla okolicy, a uciechą dla oczu.

Ponad strugą, która ze źródła wycieka, zbudowano maleńki meczet ze smukłym, jak zwykle, minaretem.

Księża Franciszkanie posiadają obszerne budynki: klasztor, otoczony ogrodem, hospitium, czyli dom dla podróżnych, z podwórkiem,



Ain-Karim, miejsce rodzinne Św. Jana Chrzciciela.

pełnym kwieciami, następnie z przeciwnej strony szkołę.

W pośrodku wznosi się kościół.

Na lewo od wielkiego ołtarza schody prowadzą do kaplicy, znajdującej się poniżej ogólnego poziomu.

Lampy rozświetlają surową szarą murów bardzo grubego muru. Według tradycji, są to ściany komnaty, w której się ongi narodził Chrzciciel, kościół bowiem wzniesiono na domniemanym miejscu domostwa Zacharyasza.

Droga, czy też ulica główna, wiedzie z posiadłości franciszkańskich przez miasteczko do źródła i dalej aż do stoku przeciwległego pagórka. Tu wstępować trzeba, mając na prawo wychylone zza ogrodzenia srebrzysto-zielone gałązki oliwek i ciemniejsze gałęzie fig.

Niebawem po lewej ręce ukazują się w murze drzewiczki. Za nimi cmentarzyk, czy wirydarzyk, pełen rzeczywistego uroku; cyprisy stoją cicho, a na krzakach rozkwitają przepyszne, ciemno-czerwone róże.

Ku środkowi studnia, od której miły chłód.

W głębi kościołek „Nawiedzenia” Elżbiety Zacharyaszowej przez N. Maryę Pannę.

Ewangelia św. Łukasza mówi:

„A powstawszy, Marya w onych dniach poszła na góry z kwapieniem do miasta judzkiego...”

„I weszła w dom Zacharyasza i pozdrowiła Elżbietę.

„I stało się: skoro usłyszała Elżbieta pozdrowienie Maryi, skoczyła od radości dzieciątko w żywocie jej, i napełniona jest Duchem Świętym”.

Podobno w VI wieku wznosił się tutaj wielki kościół piętrowy: absyda górnego piętra zachowała się jeszcze nad dzisiejszą kaplicą.

W kaplicy tej jedna rzecz bardzo miła.

Liczne kościoły jerozolimskie i około Jerozolimy są, oczywiście, aż przepełnione obrazami, do których treść poczerpnięto z życia Chrystusa i Maryi. Jednak niezmiernie rzadko widzi się coś prawdziwie pięknego.

Otóż w danym wypadku wyjątek miły. Obraz, co prawda, w kolorycie dość twardy, i znawca znalazłby niejedno do zarzucenia, ale jest pomimo wad tych ekspresja w linii, w ruchu postaci, w twarzach rzetelność poczucia i odczucia; słowem, poezja w tem jest.

Elżbieta wybiegła na spotkanie Maryi. Stoi na pochyłości, wiodącej od progu domu. Stoi, cokolwiek naprzód podana, z wyciągnięciem ogarniających ramion.

W ramionach tych dziewczeczka. Nie można określić innym wyrazem.

Głowa Elżbiety owinięta w chusty, spływające aż ku dołowi, twarz poorana śladami długoletniej tęsknoty, rozświetlona promieniem nagłego w starości szczęścia.

Zda się nam, że słyszymy, jak mówi:

„A skądże mi to, że przyszła matka Pana mojego do mnie?”

Pochyliła się z nieskończoną tkliwością:

„Oto jako stał się głos pozdrowienia twe-

go w uszach moich, skoczyło od radości dzieciątko w żywocie moim.

„Błogosławionaś, któraś uwierzyła, albowiem spełni się to, co jest obiecanie od Pana”...

A dziewczeczka, w ramionach sędziwej krewnej leżąca, poczyną odpowiadać: „Wielbij, duszo moja, Pana. I rozradował się duch mój w Bogu, zbawicielu moim”...

Niewysłowny czar jest w uścisku owych dwu przyszłych matek, świadomych w sobie wszystkiej tęsknoty i wszystkiej pociechy świata.

Według tradycji na miejscu tego spotkania wytrysło źródło, które zasila zbiornik przed dzisiejszą kaplicą. Kaplica zaś (a w VI stuleciu ów wielki kościół) wznosi się, kędy miał być drugi dom zamiejski Zacharyasza. Elżbieta brzemienna odosobniła się w onym domu i na jego to progu witała przybywającą Maryę.

Wogóle tradycja daje nam rysów ni-dużo, ale takie, że świetlistymi liniami wyciągają się w przestrzeni ubiegłych, mrocznych wieków. Zaliż nie będzie to sprawą a możliwością chciwego serca za śladem owych światełek przeniknąć do głębin i niewiadomośc zapełnić pojawem odczuty, zgadnionych, jakby wskrzeszonych rzeczy?

Naszem jest wszystko, cokolwiek w sobie obaczyć i usłyszeć, wywołać i odkłąć możemy. I prawdziwym dla nas to wszystko.

Naprzykład, czyż nie widzimy, jako w błękitny dzień jesienny kamienistą ścieżką po wzgórzach to wspina się, to zsuwa podróżujący orszak kapłana Zacharyasza?

Lazur niebieski ogarnia tę smutną, spaloną przez letnie skwary ziemię. Osły i muły, objuczone wszelakim sprzętem, albo dźwigające czeladź kapłańską, postępują kolejno wydłużonym szeregiem.

Zacharyasz jedzie w środku: muł pod nim tęgi, bogato przystrojony. Jedzie przed siebie zapatrzony i poważny, jako wiekowi i godności przystało, alisci na twarzy rozlana dziwna słodycz.

Studzy pomiędzy sobą szepcą o przytrafionem niedawno, a niepojętem zdarzeniu. Oto pewnego ranka wszedł był sędziwy kapłan do kościoła według kolei stanowiska swojego, bo właśnie przypadały nań losem miesiące urzędowania.

„A wszystko mnóstwo ludu było na zewnątrz, modląc się godziny kadzenia”...

I „oczekiwał lud Zacharyasza, a dziwowali się, że omieszkał w kościele.

„A gdy wyszedł, nie mógł przemówić do nich, i poznali, jako widzenie widział... A on skiwał na nie i pozostał niemym”...

Jakoż istotnie od onej chwili nie ode-

zwał się jednym wyrazem. „A gdy się wypełniły dni urzędu jego”, wybrał się bardzo śpiesznie w drogę powrotną do domu, gdzie nań oczekiwała podeszła w lecach małżonka, Elżbieta.

Co powie niewiasta, obaczywszy kalektwo męża?

Ścieżka zwraca się ku dołowi. Już za orszakiem na widnokręgu zniknęły długo widzialne białe i świetne mury Jerozolimy. Jeszcze, jeszcze maluczko, a rozemkną się przeciwległe wzgórza; powieje miłą rzeźwością od zachowanych po zboczach sadów, od bijącego źródła, od nadziei spoczynku w słodczy domowych ścian.

Elżbieta, zawiadomiona o rychłym przybyciu, czeka. Wyszła na podwórze, otoczone mieszkaniem, zamknięte główną bramą. Nasłuchuje. Do uszu jej dochodzi dźwięczący świergot ptasi; z przeczystego nieba wprost na głowę spływają ogromne strugi światła.

W tej jasności widziana silna postać kobieca.

(DN)

SZYMON TOKKRZEWSKI:

ZE WSPOMNIENI KATORŻNIKA

SUANGO.

2)

— Ja skórę kupiłem u Salomonki, Żyda parszywego—mówił—niechaj poświadczą: bratan Matwiejew, Gawryłko, bratan Arefiew—i wymieniał stu „bratanów”, gotowych w każdej chwili i na każde zawołanie zeznawać na korzyść Nieustrojewa. A że przytem Salomonka, handlem domokrażnym zajęty, w ustawicznym był ruchu i trudnoby go było ściągnąć do konfrontacji z obwinionym, Nieustrojew zawsze potrafił usprawiedliwić się z zarzucanych mu przestępstw.

Z ręki Nieustrojewa również zginął „Kul-tiarka” Teodora Dostojewskiego, który też najenergiczniej sprzeciwiał się wprowadzeniu Suanga do twierdzy.

Wszakże, zanim powzięliśmy jakąkolwiek stanowczą decyzję co do losu naszego czworonożnego przyjaciela, tymczasem, jak się to często zimą trafiało, nad Omskiem rozszalał się „burjan”, trzy doby bez przerwy trwający, lżejsze, drewniane budowle zdmuchnął, jak budki z kart, powyrywał drzewa z korzeniami, poniszczył ogrody, ulice zatarasował zaspami śniegu, domy literalnie w śniegu pogrzyżył.

Miasto wyglądało, jak obumarłe, jakby w połowie z powierzchni ziemi zgładzone. Kto nie miał w spiżarni dość zapasów, musiał cierpieć głód. Skoro więc tylko burza śnieżna przycichła, zaledwie pierwszy dzień pogodniejszy szarzyć poczynął, całą watahę katorżników z ostroga przypędzono do miasta.

Uzbrojeni w łopaty, szufle i oskardy, mieliśmy naprawiać uszkodzenia, zrządzone przez pohulanek „burjanu”.

Najpierw oskardami rozbijaliśmy góry lodowe i zmarznięte zasy śnieżne, torując drogę saniom, a potem owe tafle lodu i bryły śniegu ładowaliśmy na też same sanie, wreszcie odgrzebywaliśmy domy, białym całunem śniegu przykryte.

Były to prace krwawe, tem cięższe, że dozorczy wciąż nawoływali:

— Skorieje, rebiata! skorieje—i, aby nas



ŚMIECH (z wystawy „Zera” w Krakowie)

FRANCISZEK ŻMURKO

do pośpiechu przynaglać, wymachiwali nahajkami ponad naszymi głowami.

Zaiste! można było oszaleć przy tym krzyku dozorców, przy poświęceniu ich nahajek i przekleństwach do wściekłości doprowadzonych katorżników...

Już o zmierzchu wróciliśmy do ostrogu, po tej całodziennej, miarę zwykłych sił ludzkich przechodzącej pracy. Kiedym wszedł do kuchni, już za stołem poroziadali się katorżnicy, w czapkach i półkożuszkach. Niektórzy z drewnianych kubków pili kwas, zagryzając chlebem. Ziębnięci, wygłodzeni, po całodziennym poście wszyscy upominali się o ciepłą strawę, krzykiem i połajaniem do pośpiechu nagłać kucharzy.

Buchnęły na mnie gorące opary, kliwy odór kwaszonej kapusty i tłuszczów... Nagle pociemniało mi w oczach, siły wypowiedziały mi posłuszeństwo, bezprzytomny runąłem na podłogę.

Po ciężkim i długim zapaleniu płuc zwolna przychodziłem do zdrowia w szpitalu więziennym fortecy omskiej, w izbie rekonwalescentów.

Z 2555 dni, przeżytych w ostrogu omskim, te, którem spędził w szpitalu, były jedynie spokojne i, w porównaniu z innymi, dobre. Rozkoszowałem się czystym powietrzem obszernej i schludnie utrzymanej izby, rozkoszowałem się swobodą względną. Skoro po krótkim dniu zimowym, o zmierzchu, wszelki ruch ustawał w szpitalu, Syberya, Omsk, katorga z przed moich oczów sennych niknęły,

a zjawiała się złuda, że pośród swoich, pod dachem rodzinnego domu spoczywam.

Stokroć błogosławiona taka złuda!

Lecz nagle z jakiegoś kąta izby dolatuje westchnienie... jęk... ktoś się poruszył na tapczanie... brzęknęły kajdany... miłe złudzenie pierzcha... Z poczuciem rzeczywistości zrywa się w duszy protest namiętny, bunt przeciw wyrokowi losu.

Wtem po izbie wionie szept:

„Chryste, umocnij mnie!... Chryste, nie opuszczaj mnie!... Chryste, błogosław mojej ziemi, mojej chatynce i wszystkim ludziom sprawiedliwym!”...

To staruszek, starowierca, człowiek nadzwyczaj sympatyczny i uczciwy, dla którego mieliśmy szczerzy szacunek, modli się tak żarliwie.

— ...Chryste, umocnij mnie!... Chryste, błogosław mojej ziemi... — powtarzam za nim, powtarzam wielokrotnie, wreszcie, ukojony i zrezygnowany, pogrążam się w mocnym, pokrzepiającym śnie...

Skoro świt, miewaliśmy wizytę lekarza.

Młody doktor Borys (nie mogę odżalować, że mi jego nazwisko uleciało z pamięci) wogóle wszystkich przestępców politycznych, a więc i mnie, osobliwymi obdarzał względami. Przynosił mi to wina mocne, to jakąś potrawę smaczną a posilną. Żeby zaś nie obudzać zazdrości innych rekonwalescentów, mawiał:

— Śliczną zebrałeś pan sumkę za malowanie pokojów!... Ot! jak talent popłaca. Miej-

cie przykład. Z tych pieniędzy, złożonych w kancelaryi plac-majora, pisarz Diaglelew asygnuje mi na jadło i napitki dla was, Szymonie Sebastyanowiczu. Bo musisz się pan wzmacniać i rychło zabrać do pracy. Skarb dużo traci na każdej parze próżnujących rąk!

Tak improwizując, doktor Borys uśmiechał się porozumiewawczo i ścisnął mnie za rękę.

Nierównie więcej, niżli podarunki, ceniłem gawędy z Borysem.

Rozmawialiśmy po francusku.

On wypytywał o udział Polaków w spisku dekabrystów, o ruch, za który zostałem skazany. Bywał też miłym posłem od braci wygnańców, a kiedyś, śmiejąc się, zwiastował mi nowinę, że bezpieczeństwo Suanga zapewnione, bo Dostojewskij przeprowadził układy z Nieustrojowym, i ten, otrzymawszy dwa ruble, słowem katorżnika zobowiązał się nie targnąć nigdy na życie naszego czworonożnego przyjaciela.

Raz, o niezwyklej porze, okutany w futro, wbiegł do naszej izby Borys.

— Na sekundę wpadłem do was—zwrócił się do mnie.—Zawiadomiono biuro gubernatora, że w stancy kozackiej pojawiła się jakaś bardzo zaraźliwa choroba, i gubernator, jego „światłość” książ Gorczakow, polecił mi udać się tam natychmiast. Wyjeżdżam na całą noc... Wrócę najwcześniej pojutrze, a może dopiero za trzy albo cztery dni... Sto czterdzieści wiorst, droga, słyszę, okropna, a chorych, podobno, cała kupa...

(DN)



J. E. Ks. BISKUP KAZIMIERZ RUSZKIEWICZ.

Jubileusz Biskupa.

W dniu 22 b. m. obchodzono uroczyste dwudziestopięciolecie święceń biskupich i pięćdziesięciolecie—kapłańskich J. E. ks. Kazimierza Ruszkiewicza, biskupa sufragana warszawskiego, wikaryusza generalnego archidiecezyi warszawskiej i proboszcza świętokrzyskiego.

Na każdej niwie, w każdym zawodzie półwiekowa gorliwa praca wymaga poświęcenia, nakładu sił i zdolności niemałych, ale w ostatnim zwłaszcza okresie naszych dziejów powołanie kapłana polskiego jest niezwykle pracowite i wyczerpujące, a stanowisko jego w wysokim stopniu trudne i odpowiedzialne, szczególnie na wyższych dostojeństwach. Wiemy dobrze, z jakimi przeciwnościami i utrapieniami walczyć muszą przedstawiciele duchowieństwa katolickiego w naszym kraju, z jakimi wymaganiami i zarzutami się liczyć, z jakimi prądami i kierunkami ścierać się w obronie nauki i stanowiska Kościoła, w obronie ojczystej wiary i obyczajów swych rodaków.

Dostojny jubilat i jako kapłan, i jako biskup spełniał swe posłannictwo z zupełnym oddaniem się i poświęceniem, z roztropnością, stanowczością i odwagą niezłomną, z wzrokiem, szeroko obejmującym ogólne sprawy Kościoła, a zarazem rozwój i dobro własnego społeczeństwa.

Ks. Biskup, rodem z dyecezyi sejneńskiej (ur. 5 stycznia 1836 r.), szkoły i seminarium skończył w Sejnach, a następnie akademię duchowną w Warszawie. Wyświęcony na kapłana w 1859 r. przez biskupa Wołoczewskiego w Wornjach, po kilku latach przeniósł się do Warszawy, skąd w 1862 r., z porady arcybiskupa Felińskiego, wraz z kilkoma zdolniejszymi młodymi kapłanami udał się na dwuletnie wyższe studia teologiczne do

Uniwersytetu rzymskiego, którego jest doktorem. Rychło po powrocie do Warszawy został vice-regensem, a w 1867 r. regensem seminarium warszawskiego i stanowisko to zajmował przez 16 lat aż do czasu, gdy w r. 1883 został przez papieża Leona XIII prekonizowany, a w 1884 konsekrowany na biskupa Berysseńskiego *in partibus infidelium* i sufragana warszawskiego.

Nie naszym jest zadaniem wykazywać prace i zasługi jubilata na polu czysto kościelnym, religijnym, pedagogicznym, tudzież na niwie miłosierdzia publicznego, jako organizatora lub naczelnego kierownika wielu instytucji dobroczynnych w naszym mieście. Podkreślić tu musimy usiłowania jego w celu podniesienia ogólnego poziomu wykształcenia i nauki wśród kleru.

Jak zniesienie Szkoły Głównej dla świeckich, tak zniesienie akademii duchownej warszawskiej dla duchowieństwa naszego kraju było ciężkim ciosem, utrudniającym wielce wyższe studia. Ks. biskup Ruszkiewicz od samego początku należał do rzędu tych kapłanów, którzy wraz z późniejszymi biskupami Nowodworskim i Kossowskim, z braćmi Chodyńskimi, ks. Knapieńskim zajęli się gorliwie zorganizowaniem działalności literacko-naukowej w duchu katolickim, aby możliwie brakowi wyższej uczelni zaradzić. Objął więc stałe współpracownictwo w ówczesnym *Przeglądzie Katolickim* i *Wielkiej Encyklopedyi Kościelnej*. Obchodziła go także blisko literatura świecka i ogólne sprawy społeczne. Odyniec, Deotyma, Ludwik Górski, Adam Pług, Zacharyasiewicz, grono pisarzy, skupiających się dokoła dawnej *Kroniki Rodzinnej* za redakcyi Aleksandry Borkowskiej, stanowili przez długie lata koło jego najbliższych znajomych.

Chociaż w ostatnich latach, w skutek sędziwego wieku ks. Arcybiskupa, powiększyć się musiał zakres jego działalności administracyjnych, a szczególnie wizytacje licznych parafii rozległej archidiecezyi, nie uchyla się ks. Biskup od żadnej pracy społecznej, którą za zbożną i pożyteczną dla narodu uważa: w swoim czasie brał udział w koncentracjonistwach narodowych przed drugą Dumą, a obecnie zajął się skoordynowaniem i skupieniem czynności licznych instytucji społeczno-katolickich oraz popieraniem we właściwym kierunku rozwoju prasy katolickiej.

Uroczystości jubileuszowe odbyły się w kościele Śto-Krzyskim, którego jubilat jest od lat 25-ciu proboszczem. Celebrował sam Jubilat, asystował ks. Biskup Zdzitowiecki, a przemowę wygłosił ks. Chełmiński. Adres gratulacyjny odczytał dziekan warszawski, ks. Dudrewicz. Po nabożeństwie grono osób świeckich z prof. Kosińskim i Fr. Nowodworskim na czele udało się do mieszkania Jubilata, aby złożyć mu dar jubileuszowy: arkusze z tysiącami podpisów, pochodzących nie tylko od katolików, tudzież wyrazić w imieniu ogółu polskiego szczerą, głęboką uznanie, wdzięczność i życzenia serdeczne dla zasłużonego i czcigodnego biskupa-obywatela.

IG. B.



Ofiary trzęsienia ziemi. Ranni obozują w polu; zabici w trumnach

Kłeska żywiołowa.

Jeżeli porównamy Prowancję z Sycylią, ostatnie trzęsienie ziemi wyda nam się łagodnym i ma-



Kłeska żywiołowa. Wnętrze domu w Lambese.

łoznacznem w zestawieniu z tem, co się działo w dawnej krainie Hesperyd. A przecież i tu, na tej pięknej ziemi południowej, której część wydeptują corocznie setki tysięcy przybyłych ze wszystkich krańców świata turystów, nie brak ani wsi, doszczętnie zburzonych, ani jęku i łez setek ofiar.

Sprawdziły się, niestety, przepowiednie ks. Moreux, które przedrukowaliśmy na tem miejscu.

Wstrząśnienie dało się uczuć na całym półbrzeżu śródziemno-morskiem, od granicy Włoch aż do Marsylii. Rzecz ciekawa, że szlak turystyczny, właściwy niebieski brzeg, pozostał nie uszkodzony, nietknięte również większe miasta Montpellier i Perpignan. Natomiast między Marsylią i Avignon'em jest kilka wsi w gruzach. Na widok zerwanych dachów, podziurawionych murów, ruin kościołów można sobie wyobrazić, co by się stało z cudnym krajem, gdyby wstrząśnienie było silniejsze i zatoczyło szersze kregi.

Pierwsze dało się uczuć 19 czerwca wieczorem i trwało sześć sekund, poczem dało się uczuć jeszcze parę zupełnie lekkich kołysań. Zdaje się, że ośrodkiem trzęsienia ziemi była górzysta część departamentu Bouches du Rhône. Wsie Rognes i Vernigues są w ruinach. Ciężko dotknięte są również miejscowości Lambese i St. Cannat. Okolice, najbardziej dotknięta katastrofą, leży w pobliżu wygasłego wulkanu Beaulieu. Liczba ofiar dochodzi do sześćdziesięciu zabitych.



Kłeska żywiołowa. Wojsko przenosi trupy zabitych w zniszczonej wiosce Rognes.



W NOC JANOWA

ST. POPOWSKI

„Roześmiała mi się dusza“...

Z CYKLU: „WIEŚ“.

Roześmiała mi się dusza, kiej dziewczucha na odpuście! i wybiegła z piersi drżącej, na te łąki przy upuście...

Na te łąki, na te pola, między maki i bławaty—za jaskółką biegła lotem, ponad strzechy! ponad chaty!

Popłynęła na zagrody z skowronczaną pieśnią spółem, razem z rosą porankową opadała ponad siołem!

Roześmiała mi się dusza, kiej dziewczucha na odpuście! Skorom ujrzał starą matuś, starą matuś w białej chuście... Starą matuś z dwojakami, jak do košby niosła warzę... Większą dziatwę na wygonie! swoich ludzi! swoje twarze! Te kapoty, te sukmany, te magierki, zgięte z ucha... Roześmiała mi się dusza, kiej w weselny czas młoducha!

Roześmiała mi się dusza... Hej! a komuż się nie roześmieje, gdy kosy zadzwonią, gdy wonny zapach świeżego siana zaleci, komu?

Jest jakaś czarowna, pojąca moc w tej świętojańskiej dobie, gdy łąki zapachną, gdy się fujarka pastusza rozlegnie, a ptaszęta zanucą wtórem, gdy każdemu stworzeniu na śpiew! na jakieś wołanie serdeczne!

I choćby nie wiem jakie prawa pisane przyszły, choćby „szkiełko mędrca”, cyrkiel i waga siły się na odarty z innych marzeń rozum ludzki, to świętojańskie to w noc kupałową przed wiekami poczęte, to w sobótkowych płomykach migocące—zostanie!

Byliście kiedy na wsi pod Święty Jan? Toć



WIANKI

JAN MATEJKO

to naprawdę Nowy Rok wiejski. Na nim się kończy, na nim zaczyna. Już po przednówku. Już o godzinę kłopotu niema. Już jakby z „nowego”.

Sianokosy... Pierwszy pokos to pierwszy plon rolnika — pierwszy zielny wianek na skroniach ziemi. A potem już wszystko idzie jak z płatka, jedno za drugim, żniwa żytnie i pszenne, kopanie... Ale Święty Jan robi początek wszystkiemu, a robi z marzeniem, z nadzieją.

Idzie Rok Nowy. Od Niego i na Niego się rachuje: „od Świętego Jana”, „do Świętego Jana”. I służba się godzi, i płaci, i nowe rejestra zaprowadza, i kontrakta

odnawia. A i o grosz łatwiej na Święty Jan. Wełna... rzepak „na zielono”... O grosz łatwiej, to i na duszy raźniej! Kogo się w tym czasie marzenie nie chwyci, ten nigdy marzyć nie potrafi...

Święty Jan. W ziemiańskim dworku—na podsienu—rodzina gwarzy dziedzicowa.

Wieczornym szmerem grają drzewa: topole, lipy i dąbrowa. Szlachecki dworek z przystawkami (pokoleń go stawiły dłonie), gontowy daszek mchem porasta, niby siwizną starca skroniel. Bielone ściany, wrosłe w ziemię, na modrzewiowym wsparte zrębie, ganek na słupkach winem spięty, nad gankiem dymnik i gołębie.

Przed dworkiem zieleń szmaragdowa, żywo-płot strzeże z róży dzikiej... W pośrodku kompas, w głazie rżnięty, dalej obórka i kurniki...

Szlachecki dworek z przystawkami, cały obrządek ma na oku: stodoły, stajnie, rodne niwy, co płyną złotem w „dobrym” roku...

Na modrzewiowym zrębie wsparty, niby przy košbie czujny włodarz, od wieku patrzy na wieś całą, jak dobry ojciec i gospodarz...

Patrzy... i słucha.

Patrzy... Ma się ku zachodowi, ale słońce świeci jasno, bo to Święty Jan, najdłuższy dzień w roku... Od pół, od wsi dolatuje pogwar i płynie po rosie, co się już po murawach posiała.

Jak daleko sięgnąć okiem, jakaś dziwna jasność nad ziemią. Późno, a prawie mroku niema. Odrzaskiem świecą role, łąki i fale kłosów, mieniące się raz po raz, niby jakaś rzeka, srebrem lub złotem płynąca... I wody świecą, rzekłbyś: że ktoś na dnie ogniska porozpalał...

A nad wodami Święty Jan stojący, taki jasny, płonący, takie blaski od białej figury biją...

Wreszcie i mrok idzie. Wychynał się z za ciemnego boru i jakby szarą sukmaną odziewa doliny i wzgórza... Nagle i tam zapłonęło, zaświtało... płomyk za płomykiem. Jeden... drugi... dziesiąty... setny! nie zliczyć! W starym dworze roześmiała się dusza, kiej dziewczucha na odpuście... Sobótki... Noc świętojańska... Czar ziele! K. LASKOWSKI.

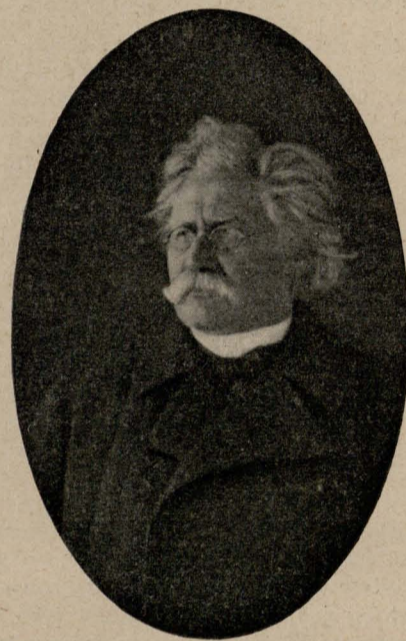
Czterdziestoletni jubileusz

Fr. Rawity Gawrońskiego.

W sobotę ubiegłego tygodnia liczne grono literatów i uczonych we Lwowie uczciło czterdziestolecie wydatnej pracy literackiej zasłużonego historyka i pisarza, Franciszka Rawity Gawrońskiego, widząc w nim słusznie jednego z najtęższych żyjących przedstawicieli starszej generacji pisarzy, która, rozpoczynawszy żmudną pracę na niwie literackiej wkrótce po strasznej katastrofie z roku 1863, wcieliła w sobie niejako instynkt samozachowawczy wziętego na powolne tortury narodu i niezmordowaną pracę nad rewizją haseli i umocnieniem dusz składała świadectwo jego żywotności.

Przejęty hasłami pracy organicznej, Gawroński, jak wielu innych rzeczników tych hasel, rozpoczął swą pracę literacką i obywatelską od systematycznego zwalczania wszelkiego marzycielstwa, któremu przeciwstawia tężyźnię, trzeźwość, pracowitość i siłę woli, skupione, jak w soczewce, w jednej z najcharakterystyczniejszych postaci powieści Gawrońskiego—w Pawle Bulwie z „Dwóch dróg”. Inna znana powieść, „Błędne ogniki”, jest satyrą na przesadność, jaką towarzyszyła ruchowi emancypacyjnemu kobiet w pierwszym jego okresie. Tu cenił autor zbyt wyraźnie zajmuje już zupełnie negatywne stanowisko wobec nowych prądów umysłowych i społecznych, co przenosi go już w sferę czystego konserwatyzmu.

Od jakiegoś czasu zaniechał Gawroński pisanie utworów beletrystycznych i całą niezwykle wytrwałą pracę swego energicznego umysłu poświęcił zagadnieniom historycznym. Ponieważ pochodzi z Ukrainy, gdzie w roku 1846 w Stepaszkach ujrzał światło dzienne, przeto



Franciszek Rawita Gawroński.

historia ściślejszej jego ojczyzny zajmuje go najbardziej. Pracując nad nią od wielu lat, zbadał mnóstwo nieznanych dotąd źródeł i materiałów, zebrał podobno pokaźne archiwum własne, a wyzyskawszy te wszystkie owoce swoich wytrwałych usiłowań w szeregu poważnych dzieł i studyów, zajął dzisiaj w naszej historyografii wybitne miejsce jednego z najlepszych znawców historii Ukrainy. Jego „Historia ruchów hajdamackich” (Lwów, 1901) lub świeżo obecnie ukończone dwutomowe nowe dzieło o Bohdanie Chmielnickim są, obok wielu innych szkiców i studyów, cennym wkładem do skarbnicy naszego dziejopisarstwa.

Gawroński, jako pisarz historyczny, zachował cały swój temperament i subiektywizm beletrysty. Wobec badanego przedmiotu nie przestrzega on chłodnej obiektywności, nie traktuje historii i opisywanych zdarzeń i ludzi bezosobowo, lecz ustosunkowuje się do nich osobiście, jako człowiek o wysokiej kulturze i jako Polak, bardzo gorąco ojczyznę swą kochający.

Obecny skromny, a zasłużony jubileusz zasłużonego pisarza nie oznacza bynajmniej kresu jego owocnej twórczości i pracy. Mimo siódmego krzyżyka, który nosi Gawroński na swych barkach, znać jeszcze w jego postaci i temperamencie pisarskim dużo rzadko spotykanej energii, która niewątpliwie wyrazi się w szeregu dalszych, cennych dzieł jego głowy, serca i pióra. □



Witold Wojtkiewicz.

Generacja, która dopiero w ostatnim dziesiątku lat wystąpiła na arenę malarstwa polskiego i twórczością swoją zaznaczyła pewne charakterystyczne pierwiastki, nieznanne dotychczas sztuce naszej, utraciła jednego z najwybitniejszych swych przedstawicieli, a bodaj czy nie najzdolniejszego z pomiędzy siebie.

W dniu 14 czerwca zmarł Witold Wojtkiewicz, młody, wielce obiecujący, twórczy organizm. Zmarł w chwili, gdy zaczynał zajmować własne w sztuce stanowisko, gdy prace jego wyrabiały nazwisku artysty prawo obywatelstwa w malarstwie najnowszej doby.

Wojtkiewicz był jednym z tych, którzy swe pojęcia o sztuce kształcili w atmosferze modernistycznego kierunku. Kierunek ten oddziaływał na niego od dzieciństwa, urabiał jego twórczość, to też samodzielną swą pracą łączył się on z nim, jako z pojęciem, rdzennie związanym z wewnętrznymi aspiracjami artysty.

W oryginalnej, jaskrawej, pełnej szarży, a równocześnie i fantazyjnego polotu twórczości Wojtkiewicz był przedewszystkiem szczerym. Czuć było, że jego kompozycyjne pomysły są wylewem uczuć, że odpowiadają wewnętrznej potrzebie młodego malarza, że za ich pomocą pragnie indywidualne swe porywy w sztuce zaznaczyć. Ta strona talentu zgastego przedwcześnie artysty stawia go ponad tych wszystkich, którzy z kierunkami współczesnymi nie duszą, lecz snobizmem chorej imaginacji są związani.

Wojtkiewicz miał wielki, wrodzony talent, któryby mu pozwolił w każdej epoce pierwszorzędne zająć stanowisko. Traf zrządził, że pojawił się w chwili panowania modernizmu—poszedł więc w rozwoju swym wraz z generacją, porwany nurtem rwącego potoku; w prądzie tym jednak nie utonął, nie wyjął talentu, lecz przeciwnie, zajął jako niezwykła i wielce ciekawa indywidualność.

W najsmielszej szarży, zbliżonej do zupełnej karykatury, znać było u Wojtkiewicza artystę, który umiał rysować, a przedewszystkiem który czuł rysunek. Lubował się w niezwykłej formie,

ale podstawą jej był kształt i ruch, które mieściły w sobie najważniejszy w sztuce czynnik—życie.

Daremnie szukam w pamięci nazwisk artystów, którychby w polskim malarstwie poprzednikami Wojtkiewicza nazwać można, a nawet wśród przedstawicieli współczesnych w sztuce ideałów jest on odosobniony. Oryginalna samodzielność jest główną cechą tego talentu. Szedł swą własną ścieżką przez cały czas krótkotrwałej kariery.

Twórczość Wojtkiewicza łączyła w sobie wiele, skrajnie nawet różnych pierwiastków: humor i tragizm w ideowej koncepcji, karykaturę i subtelność linii w plastycznym wyrazie. Z pierwiastków tych tworzył całość niezwykłą pod każdym względem. Utwory jego znajdowały większy poklask wśród artystów, niż wśród szerszej publiczności, dla której mogły być nie zupełnie zrozumiałe.

Wystawiał od lat pięciu zaledwie, poprzednio jednak zaznaczył swą działalność twórczą, jako rysownik i ilustrator. Jak w jednym, tak i w drugim kierunku szedł wciąż drogą postępu, rozwijając i wznagając swą samodzielność.

Zmarł w pierwszym zaraniu młodości w dwudziestym dziewiątym roku życia, jak Grottger, jak Maks Gierymski, jak Podkowiński. Twórczość jego pozostanie związana z okresem, który go wydał, gdyż okresu tego był bodaj najgenialniejszym przedstawicielem.

H. PIĄTKOWSKI.

FANTAZYE PRZYSZŁOŚCI.

Chęć przeżywania dalekiej przyszłości właściwa jest umysłowi człowieka, jak i chęć przekształcania jej wedle wymyślonych przez siebie norm, recept uszczęśliwienia ludzkości. W różnych tylko te fantazyje przyszłości rozwijają się kierunkach.

Wszyscy prawie czytaliśmy utopię Bellamy'ego, rysującą nam obraz społeczeństwa idealnego, dzieło twórczości w rodzaju Platona, Morusa, Campanelli, twórczości, której próbował na stare lata nawet wykwintny sceptyk, Anatol France, niezbyt więc było mu do twarzy w roli reformatora. Robida opisywał nam cuda techniki przyszłości, wśród których nie brakło nawet zup i sosów, dostarczanych rurami z olbrzymich rezerwoarów, na co wzdrygali się smakosze i przyszłość przeklinali. Wells i nasz Żuławski śnią o stosunkach ze światem planetarnym, o życiu innych istot, mniej lub więcej od ludzi oddalonych i odmiennych, nawet na wystyglym księżycu.

Inny jest charakter twórczości fantastycznej doby obecnej: przed Marsem ofiarne składa całopalenia. Czy niestety rozwój techniki wojskowej, czy prawie rozwiązana dziś już kwestya żeglugi powietrznej i zastosowanie tych latających potworów do wzajemnej eksterminacji, czy wreszcie względnie długi okres pokoju wraz z przekonaniem, że niebawem wojna wybuchnąć musi na tle współzawodnictwa Niemiec z Anglią—każdy z osobna z tych czynników, a może wszystkie razem kierują fantazyją twórczą autorów.

Dzieła sztuki czy ramoty? Pierwsze — z pewnością nie, drugie—może także nie, bo często zbyt poprawne. Ot, poprostu, rodzaj poczytny: fabuła zajmująca, zabawa w wielką politykę, w dzielenie mapy Europy, co zawsze i wszędzie będzie podobało się czytelnikom. Warto parę słów tym fantazyjom poświęcić: dzieła sztuki czy nie, są to niewątpliwie znaki czasu.

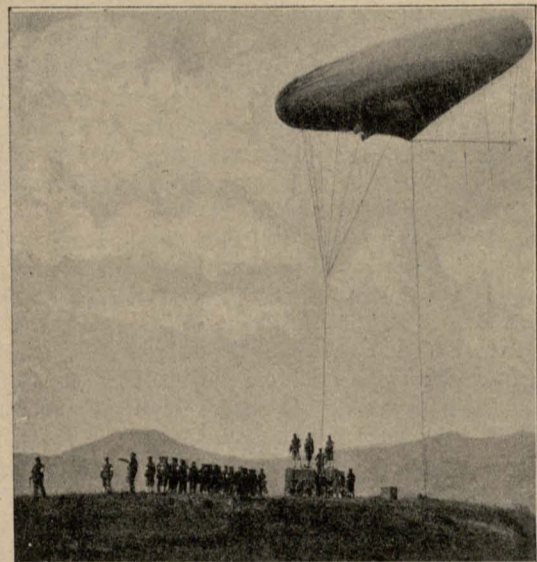
Aż dwie polskie fantazyje przyszłości drukują się obecnie w odcinkach pism. Jedna, raczej starej doby, bo balon występuje tylko jako akcesoryum, nosi tytuł „Bitwa pod Warszawą”, a au-

torem jest p. Stefan Dobrycz (pseudonim podobno wybitnego polskiego publicysty w Wiedniu). Rzecz dzieje się w r. 1916 w przeddzień i podczas najeścia Niemców na państwo rosyjskie. Cafe Królestwo widzimy pokryte siecią szpiegów niemieckich; zające kraju uznane za tak pewne, że z pośród zamieszkałych tu Niemców wyznaczeni są z góry urzędnicy i urzędy pruskie; pełno Niemców na wysokich stanowiskach w Warszawie; zabójstwa polityczne, przebieranie się, uciezki, tajne kurytarze, sprężynowe przejścia—słowem *tout le tremblement* powieści sensacyjnej. Odrzućcie fantazyję: czy nie przypomina to wam głośnej przed kilku tygodniami, jakoś tak prędko przemilczanej i zatuszowanej afery szpiegowskiej w Warszawie?

Bohaterem jest tu młody Polak, ochotnik jednoroczny, który z obowiązku jest dobrym żołnierzem, a z przypadku odkrywa różne knowania niemieckie. Losy jego i przygody różne są osią powieści.

P. Ludwik Szczepański bardziej współczesnymi szlakami kroczy w swojej powieści. Tragiczny węzeł fantazyji leży w tem, że wynalazcą najlepszej maszyny do latania jest Polak, poddany pruski, który naturalnie nie chce najgroźniejszemu naszemu wrogowi wynalazkiem swoim dopomóc do ostatecznego w Europie zwycięstwa. Stąd zakłamania interesujące, z którymi warto zapoznać się bezpośrednio.

A smutny sens moralny obu tych powieści to możliwe rzucenie przeciwko sobie podczas wojny braci, to wystugiwanie się inteligencją obcym dążeniom i interesom, to nieświadomy „Bartek

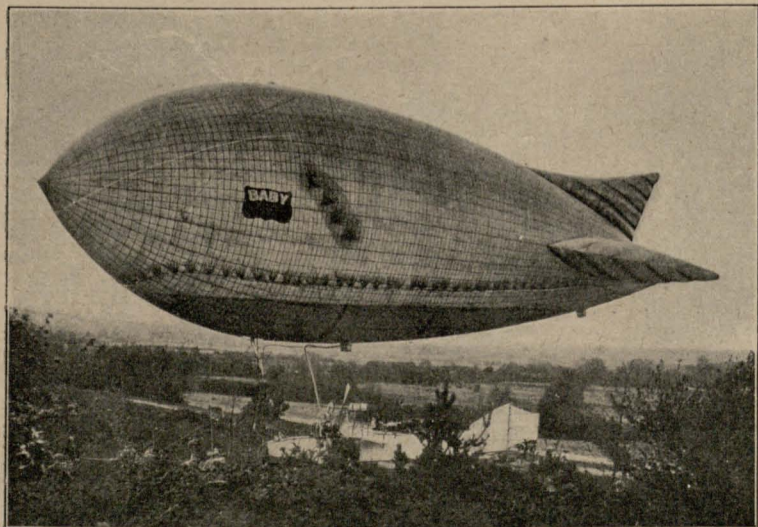


Aeroplan w Chinach. Manewry wojska chińskiego.

Zwycięzca”, lub tragiczny obraz z bitwy pod Eylau, jeden z najmocniejszych ustępów „Huraganu” Gąsiorowskiego, zatytułowany „Trzy pokolenia”. Sens moralny, który w najgłębszych uczuciach naszych każe się obawiać wojny—w każdych warunkach dla nas bratobójczej.

Zmorą Anglii jest dziś możliwe wylądowanie wojsk niemieckich, nie równoważone armią z powszechnej służby wojskowej, której nie chce naród, najbardziej ceniący wolność indywidualną. Zdenerwowanie jest takie, że na tle wzlotu balonów Zeppelina wymyślono na wyspie brytańskiej całą legendę o szpiegach balonowych niemieckich, szybujących nad Anglią, legendę, która obiegła wszystkie pisma europejskie.

Poczuciem bezsilności wojskowej ojczyzny swojej na morzu, chęcią propagandy powszechnej służby wojskowej kierował się angielski autor sztuki teatralnej *An english Home* (dom angielski), która święci niezliczone tryumfy na scenach angielskich, a wśród wycia rozjuszonego tłumu padła na pierwszym przedstawieniu w Berlinie. Treść prosta. W *home* angielskim rozprawy ironiczne na temat służby wojskowej; w następnym akcie najście Niemców. Potem brutalni przybysze bezczeszczą świętość narodową—nietykalny *home* angielski. Aż gospodarz, ów przeciwnik wojskowości, chwytą w dłonie karabin. Są polowy, groza roz-



Wzlot ostatniego wojskowego balonu angielskiego „Baby”.

strzelania—gdy nagle ukazują się zwycięscy *high landerzy*, i rozlegają się dźwięki hymnu *God save the king...*

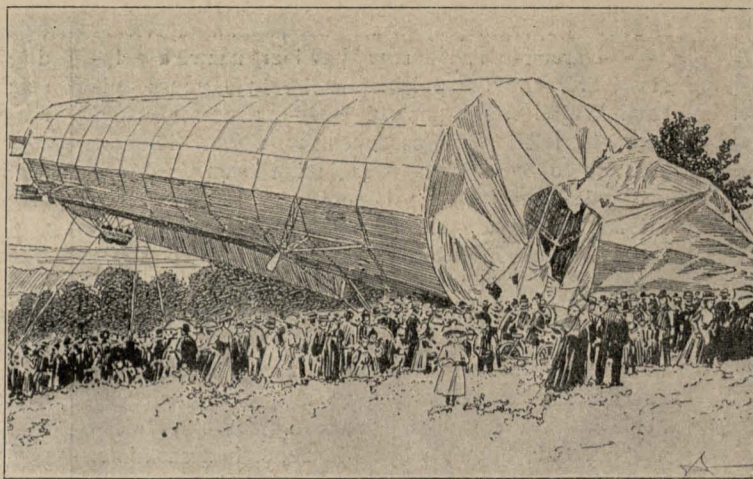
Anglia uratowana... Zakończenie dobre, bo innego nie zniósłaby publiczność angielska. Zadowolona powraca do swoich *home'ów*. Sztuka doskonale spełnia swoje zadanie propagandy.

Schwerfällig—żeby użyć wyrażenia niemieckiego—i nudna—a podobno to jest jedyny rodzaj nie tolerowany—jest ostatnia fantazyja niemiecka *Der Weltkrieg in den Lüften*. I tak barbarzyńska, jak tylko niemiecka koncepcja w tym kierunku być może. Jesteśmy w pełni panowania balonów na wojnie. Właściwie—balonów, ciężkich, pełniących obowiązki niejako środków przewozowych lub pancerników powietrznych, systemu Zeppelina, który w wojnie jest naczelnym admirałem powietrznym, i lekkich aeroplanów, systemu Wrightów, o założach z kilku osób zaledwie, niby lekka kawaleria powietrzna. Bracia Wrightowie mają międzynarodowe towarzystwo akcyjne budowy aeroplanów i dostarczają ich wszystkim wojującym. Między głównymi stolicami Europy kursują stale wielkie pośpieszne balony osobowe.

Wojna — rzecz charakterystyczna — wybucha, ponieważ rząd niemiecki odmawia wyjaśnień, żądanych z Londynu, Paryża i Petersburga z powodu ostatniego interviewu długojęzycznego monarchy. Wypowiedzenie wojny następuje 2 listopada 1915 r. o godz. 1-ej w nocy. W dwie godziny potem armia statków powietrznych niemieckich krąży już nad Paryżem. Najniebezpieczniejsze gromadzą się nad czworobokiem, którego wierzchołkami są: kościół Inwalidów, Łuk Tryumfalny, kościół św. Magdaleny i wieża St. Jacques. Bo w tym czworoboku mieszczą się władze francuskie, ministerium wojny, w którym obradują właśnie najwyżsi generałowie. I rzucają torpedy, i obracają w perzynę tę część stolicy miasta.

Barbarzyńcy nie zadrżało pióro, kiedy opisywał zniszczenie największych skarbów budownictwa i sztuki—wszak w tym czworoboku mieści się Louvre i kościół Najświętszej Panny Paryskiej i kolumna Vendôme i grób Napoleona! Nic dziwnego—wszak tylko dla ludzi cywilizowanych Paryż jest także potrochu ojczyzną. W tonie suchego historyka wypadków zaznacza autor, że wprawdzie Niemcom zarzucano barbarzyńskie rozpoczęcie wojny, ale... trudno.

Ten początek, no—i zakończenie interesować nas może. Bo ciągle, łatwe naturalnie, zwycięstwa Niemców we Francji, wprowadzenie w życie wielkiego planu Napoleona, którego wyrazem był obóz w Boulogne, z tą zmianą, że inwazyja niemiecka następuje drogą powietrzną, równie barbarzyńskie zniszczenie armii angielskiej, jak Paryża, to wszvstko rozwleczone na kilkuset stronicach



Uszkodzenie balonu Zeppelina podczas ostatniego wzlotu.

suchym, protokularnym stylem, z którego nie można zacytować ani jednego przejmującego obrazu—nikogo, nawet Niemca, interesować nie może.

Niemcy i Austria walczą przeciw Francji, Anglii i Rosji. Włochy zachowują neutralność, sprzyjającą zwycięzcom. Wojnie z Rosją poświęcono zaledwie dwie stronicie. Wszak tu zwycięstwo było takie naturalne i prędkie, tak łatwo było od razu rządzić olbrzymim państwem z Petersburga i z Moskwy za pośrednictwem dwóch generałów pruskich! W tym wypadku autor wydaje się bardzo bliski prawdy.

Wojna przynosi Niemcom zyski terytoryalne i pieniężne: od Francji biorą Algier i część północno-wschodnią kraju aż prawie po Paryż; od Rosji trzecią część posiadłości europejskich od strony zachodniej. Prócz tego Francya zapłaci 15 miliardów, a bogata Anglia, której terytoryum pozostaje nie uszczuplonem, 40 miliardów marek. Rosya nie płaci nic, bo nie ma z czego; państwo jest zupełnie zbankrutowane. Niemcy panują nad światem. *Deutschland über Alles*. Muzyka gra *Heil dir im Siegeskranz*. Zastona. Koniec nudów.

Gdyby książka p. Rimana, emerytowanego *regierungsrath'a*, była bardziej zajmująca, poleciłbym ją stowarzyszeniom wiecznego pokoju, jako znakomicie agitacyjną, lepszą, niż wszystkie sentymentalne kwilenia różnych baronowych Suttnerowych. Można uważać wojnę za zło nieuniknione, za najwyższy wyraz koniecznego w życiu czynnika walki, przecież ten chłodno krwiożerczy sposób opowiadania może ją każdemu obrzydzić i zohydzić i przekonać, do jakiego znieprawienia cywilizacyjnego mogą marzenia wojenne doprowadzić człowieka, który na niewinnienie swoje nie ma nawet żdźbła talentu.

Z czterech autorów, którzy ostatnio pisali na temat blizkiej wojny fantazyje, barbarzyńcą okazał się tylko—Niemiec. Warto to podkreślić.

W

SZABLONY.

Życie współczesne jest zmechanizowane tak dalece, że niemal wszechwładnie panuje w niem szablon. Na wszystko gotową odpowiedź, na wszystko gotową formę. Wystarczy wyciągnąć rękę, otworzyć potrzebną w danej chwili szufladkę i—brać.

Przygotowanie do tego zaczyna się od wczesnej młodości. Już dziecko z ust rodziców i wychowawców otrzymuje wskazówki, które są gotowymi szablonami. W dalszym ciągu czyni to samo szkoła, przy dzisiejszych metodach nauczania nie naprowadzająca bynajmniej umysłu na żadną prawdę, ale przenosząca ją w formie gotowej z mózgu nauczyciela do mózgu ucznia. Po kilkunastoletniej tresurze w tym kierunku umysł oczywiście tak leniwie, że nie chce mu się niczego szukać samodzielnie, nie chce mu się żadnej kwestyi przemyśleć do gruntu, idzie więc śladami innych i zadowala się najpopularniejszymi szablonami.

Szablonów tych jest mnóstwo, a wśród nich nie brak takich, które nie mają już żadnego uzasadnienia ani w życiu, ani w nauce, a trzymają się jeszcze i mają kurs jedynie dlatego, że są *szablonami*, że z pokolenia na pokolenie przechodzą drogą łatwą, że czepiają się umysłu, jak bodiak czepia się sukni przechodzącego człowieka. Ani sposób wziąć z nimi rozbrat, pozbyć się ich natrętnego narzucania się.

Dochodzi już do tego, że rozmowa między ludźmi przestaje być interesującą z chwilą, gdy z torów lekkiej konwersacji salonowej, zaprawnej dowcipem i przysypanej piędziem tak rozpowszechnionej dzisiaj zmysłowości, wkracza na tory poważniejsze. Wówczas niemal zawsze wiemy z góry, co powie p. X, a co powie p. Y. Jeden ma takie przekonania, używa więc takich szablonów, drugi ma zapatrywania inne, innymi więc posługuje się szablonami.

Oczywiście, w niemałym stopniu do rozpowszechnienia i utrwalenia się tych szablonów przyczynia się prasa codzienna, nie mająca zresztą obowiązku głębokiego traktowania poruszanych przez siebie kwestyi.

Myśl, z której błyska „nowy duch” i „forma nowa”, myśl *zapładniająca*, zdolna prowadzić za sobą, krzepić i podnosić—jest wśród nas zjawiskiem niezmiernie rzadkiem. Natomiast przesycenie szablonami uczyniło już swoje. Nie oczekując od nich nowych wskazań, poddajemy się im bezwolnie, ale zarazem z całym sceptycyzmem i z całym brakiem zaufania patrzymy na nie, znudzeni, niechętni, apatyczni. Nie trzeba dowodzić, że odbija się to fatalnie na całokształcie naszego życia i na stosunku naszym do każdej nie przewidzianej z góry sytuacji. A doprawdy, lepiej jest błądzić, myśląc, niż bezmyślnie chodzić najbardziej nawet utartymi szlakami. Z.D.



GÓRNICTWO



K. MEUNIER

WYSTAWA DZIEŁ

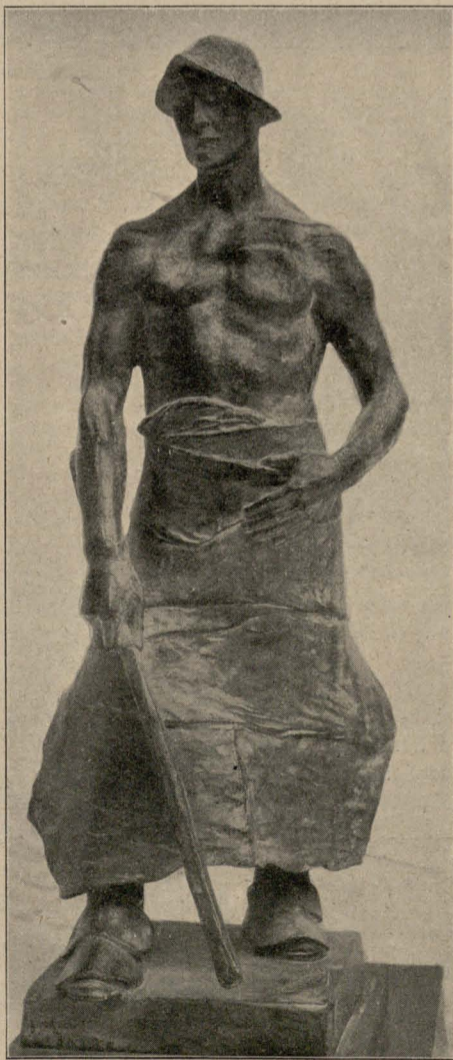
KONST. MEUNIER W LOWANIUM.

Konstanty Meunier urodził się w Brukseli, lecz najbardziej owocne lata swej działalności spędził w Luwanium. Tu stworzył najpiękniejsze dzieła, tu też powstała genialna koncepcja jego, „Pomnik Pracy”, nic więc dziwnego, że to miasto zapragnęło uczcić wielkiego artystę i, jednocześnie z uroczystym obchodem 75-lecia uniwersytetu katolickiego, urządziło wystawę jego dzieł.

Meunier, jeden z największych rzeźbiarzy współczesnych, jest przede wszystkim twórcą heroicznego eposu pracy. Liczni pisarze socjalistyczni, z Edmond Picard'em na czele, chcieli uczynić z Meuniera bojownika idei społecznej, protestującego dziełami swoimi przeciw nędzy i niedoli proletariatu. Lecz Meunier słowem i czynem broni się energicznie przeciw wszelkim narzucanym mu tendencjom, przeciw ideologii społecznej, zgoła obcej jego żywiołowej, bezpośredniej twórczości. Artysta nie tylko nie chce ukazać nam robotnika w nędzy, upokorzeniu i brzydocie fizycznej, lecz przeciwnie, chce przedstawić całe piękno rytmicznego gestu pracy, chce dać apoteozę świetnego i skutecznego trudu.

Meunier podzielił swoich robotników na pracowników gleby, morza, przemysłu i górnictwa i w każdej z tych dziedzin stworzył postacie, życiem i prawdą drgające, a jednocześnie potężne, sięgające wyżyn symbolu. Zgoła jest różną rzeczą, że, niezależnie od wszelkiej ideologii społecznej, z poza tych postaci zarysowuje się tło, na którym żyją i pracują, „czarna kraina” („Pays Noir”), pełna szybów i dymiących kominów fabrycznych, że mimowoli przychodzą nam na myśl potężne w swej grozie sceny z „Joie de vivre” i „Germinal'u” Zoli, tych dwóch eposów współczesnego proletariatu robotniczego. Jakoż obaj ci twórcy: Zola, pisarz nawskroś społeczny, i Meunier, artysta, protestujący przeciw wszelkiej tendencyjności w sztuce, mają jedną wspólną cechę, która ściśle łączy te dwie, napozór tak różne organizacje twórcze. Ich postacie krzepko tkwią

w gruncie codziennego życia, a jednocześnie, siłą wyobraźni twórczej wyolbrzymione, przeobrażają się w potężne symbole. „Kowal” Meuniera, posąg z brązu nadnaturalnej wielkości, jak ów kowal



ROBOTNIK Z WALCOWNI

C. MEUNIER

z „Joie de vivre” Zoli, ma we wspaniałym geście podniesionego młota coś z kosmicznej potęgi Prometeusza.

Meunier do rzeźb swoich wybiera często tematy religijne, lecz mimo to niepodobna, jak chcą niektórzy krytycy, uważać go za artystę religijnego. Jego „Mater Dolorosa”, przepiękna grupa, w drzewie rzeźbiona, niczem nie różni się w ekspresji od kobiety z ludu z grupy „Grison”, pochylonej w bólesci niewymownej nad ciałem zabitego syna-robotnika. W wyrazie twarzy Chrystusa jest wprawdzie wielki majestat bólu, lecz ten sam wyraz odnajdujemy w twarzy „Umęczonego” robotnika z obciążeniami przez maszynę rękoma.

Najpiękniejszy, jak już rzekliśmy, i najbardziej znamieny dla twórczości artysty jest cały szereg posągów, wyobrażających przedstawicieli poszczególnych rzemiosł. Tworzą one jakgdyby w marmur zakłęta apoteozę twardego, kamiennego czynu. A nie tylko konieczny jest ów czyn, lecz i piękny.

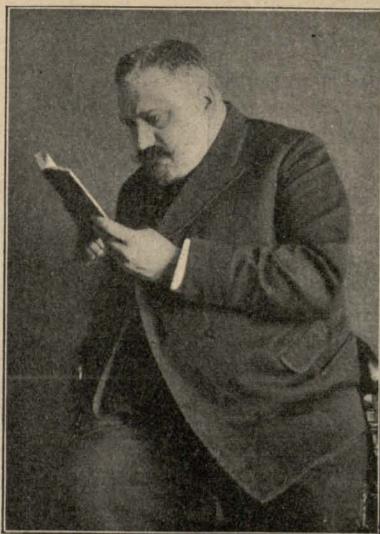
Daje nam również Meunier cały szereg „Pracowników gleby”. Więc oto jego „Odpoczywający kosiarz”, jedną rękę oparł na kosie, drugą ociera z czoła znoyny pot. Tuż obok widzimy „Siewcę”, który rzuca złociste ziarno w urodzajną glebę.

Obecna wystawa dzieł Meuniera jest trzecią z kolei, lecz po raz pierwszy widzimy tu pomnik pracy, który, ustawiony pośród pięknego ogrodu, sprawia imponujące wrażenie.

Na ścianach cokółu widzimy cztery płaskorzeźby, wyobrażające cztery dziedziny pracy ludzkiej: przemysł, rolnictwo, górnictwo i handel. Poniżej cztery postacie robotników poszczególnych zawodów. Na szczycie pomnika widzimy siewcę, który majestatycznym ruchem zda się rzucać złoty posiew czynu. Poniżej „Macierzyństwo”, kobieta z ludu przygarnęła jedną rękę do piersi niemowlę, drugą tuli do siebie starsze dziecko. Te dwie postacie, „Siewca” i „Macierzyństwo”, są symbolami pracy i wiecznie triumfującego życia.

W tym pomniku artysta zawarł syntezę całej swej twórczości, a zarazem stworzył w plastyczne kształty zakłęta, bohaterską epopeję pracy.

CZESŁAW HALICZ.



Wincenty Kosiakiewicz.

Na szlakach wiary i niewiary.

Powieść—nie powieść. Studium psychologiczne? czy może pod osłoną literatury propaganda?

„Pamiętnik współczesnego człowieka”—oto tytuł najwłaściwszy najnowszej powieści Wincentego Kosiakiewicza *). Popularny autor „Władka”, „Naszego małego”, „Gąsiorkowskiego” i wielu innych utworów powieściowych, w których zręcznie i plastycznie nakreślił tło obyczajowe małomieszczańskiej współczesności, teraz zwrócił się do innej treści, psychologiczno-filozoficznej, i przedstawił, jak „człowiek współczesny” traci wiarę i jak ją odzyskuje.

Stracić—jakże łatwo! Jedna rozmowa z „uświadomionym” kolegą, jeden argument pseudo-naukowy—i już 15-letni wyrostek staje się żarliwym wyznawcą nihilizmu filozoficznego, który nasi bracia z nad Wołgi streścili w następujących jędrnych adagiach: „dusza—komórka, Boga—niemā, rodzzonego ojca w pysk—można”.

I w jednej chwili, lekkomyślnie, bez żadnych wahań odrzuca się wszelką wiarę, jak zbyteczny balast, jak zdarty łachman.

A co dalej?

Tylko natury apatyczne i obojętne mogą stanąć na martwym punkcie leniwego agnostycyzmu: *ignoramus, ignorabimus*, nic nie wiemy, wiedzieć nie będziemy. Ale umysły żywsze, wrażliwsze całe życie szukać będą nowych dogmatów, płacić męką życia za lekkomyślność młodzieńczą. Bo nie tak łatwo odzyskać to, co się raz straciło...

Jan Woski, bohater powieści Kosiakiewicza, jest taką naturą czynną, która nie umie zadowolić się jakąś formułką, materialistyczną czy pozytywistyczną. A więc od niewiary bezwzględnej poprzez agnostycyzm, idealizm filozoficzny natrafia na drogę „powrotną” i kończy na nowo-katolicyzmie. Wpływy otoczenia, jeden, drugi zawód miłosny, studia przyrodnicze, a potem filozoficzne w uniwersytetach zagranicznych, w Genewie, a potem w Paryżu—wszystko to są czynniki, które składają się na skierowanie rozwoju duchowego bohatera powieści w tę, a nie w inną stronę.

A luźna forma „pamiętnika” pozwo-

liła autorowi uwydatnić mnóstwo szczegółów, że tak powiemy, „dydaktycznych”, które w kompozycji artystycznej powieści musiałyby być bądź zupełnie usunięte, bądź zaledwie zlekka zaznaczone.

Jako dokument do charakterystyki umysłu współczesnego, jako utwór ideowy, którego zasadzie etycznej nie można nie przyklasnąć, „Z powrotem” Kosiakiewicza godne jest bliższej uwagi czytającej publiczności.

„Romansy polskie”.

Niedawno w dwóch Nr *Gazety Lwowskiej* zamieścił dr Józef Flach ciekawy artykuł o najnowszych „romansach polskich” (Polenromane) w literaturze niemieckiej. Znana to i obfita odnośna tendencyjna beletrystyka germańskiej, a wszystkie należące do niej utwory tchną nie tylko duchem nienawiści i pogardy, ale i namiętą żądzą nowych zaborów, zgodnie z hasłem „ausrotten” i „Drang nach Osten”, jak np. słynna w swoim czasie powieść



Ulica Berka Josielewicza podczas obchodu na cześć jego we Lwowie.

Gustawa Freytaga, p. t. „Soll und haben.”

Nowe owoce, na tej płoncy wyroście, nie padają daleko od swego rodzimego drzewa. Czy to będzie romans historyczny z czasów Łokietka, p. M. von Vittena, p. t. „Nach Ostland wohlen wir reiten”, czy też powieść współczesna, obyczajowa p. Fryderyka Paarmanna: „Deutsch Kloster”, czy wszyscy Polacy będą odtworzeni, jako niedołężni, rozpustnicy w przeciwieństwie do dzielnych, przedsiębiorczych synów Germanii, zawsze rozbrzmiewać będzie złowieszcza, wojenna pobudka: „My musimy wzajem się zwalczać” i „musi być coraz więcej zgermanizowanych Polaków”...

To już nie rząd przemawia przez usta swych pełnomocników, ale społeczeństwo samo, które karmi się jadem nienawiści i zaborczości. *Germania militans!*

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na kwartał trzeci roku bieżącego.

W Noc Świętojańską.

Kwiat cudny kwitnie
w borze
Na świętojańską noc;
Kto zerwie go, ten może
Tajemną posiąść moc;
Na skarbów stanie straży,
Gdzie piekiel brózdzi moc,
Kto zerwać się odważy
Kwiat w świętojańską noc.

I mnie skusiło lichy,
Zabrałam miękki koc,
Pomknęłam sama cicho
W las, w świętojańską noc...
Nade mną niebios brama,
Gwiazdzistych iskier moc,
Gdy mknęłam cicho sama
W las, w świętojańską noc...

Widziadeł pełna knieja,
W potężną zbrojnych moc.

Śmierć Berka Josielewicza pod Kockiem.
Z obrazu Henryka Pillati'ego.

Do biografii Jarosława Dąbrowskiego.

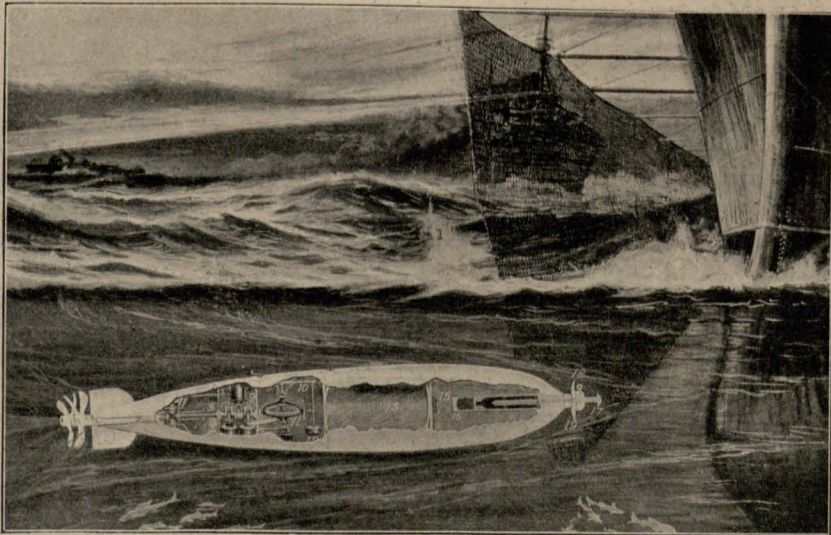
W artykule p. Mościckiego p. t. „Z dziejów Komuny” w Nr 18 *Tygodnika Ilustrowanego* podane zostały niektóre szczegóły z życia Jarosława Dąbrowskiego, zaczerpnięte z niedawno ogłoszonych pamiętników ks. Leona Postawki, rektora Misyi polskiej w Paryżu. Obecnie otrzymujemy od p. Piotra Dąbrowskiego, syna wodza Komuny, oraz od p. Walerego Przyborowskiego następujące sprostowanie i uzupełnienie nieścisłej, jak się okazuje, relacji pamiętnikarskiej ks. Postawki.

Dąbrowski, stosownie do wyjaśnienia p. Przyborowskiego; nie brał wcale udziału w powstaniu zbrojnym 1863—64 r., nie mógł być zatem „wziętym do niewoli”. Należał on tylko do Komitetu Centralnego Narodowego, utworzonego w 1862 r., i w tymże roku został aresztowany głównie za manifestacyjny udział w obchodzie unii Litwy z Polską. Skazany był w połowie grudnia 1863 r., nie na Syberję, ale na 15 lat ciężkich robót w kopalniach uralskich.

Informacji ks. P., jakoby żona Dąbrowskiego wywozila z Paryża znaczną sumę, ofiarowaną jej przez rząd Komuny, p. Piotr Dąbrowski kategorycznie zaprzecza, udowadniając między innymi, że s. p. Pelagia Dąbrowska, pozabawiona wszelkich środków do życia, była zmuszona aż do śmierci (zmarła d. 11 lutego b. r.) ciężką pracą zarabiać na utrzymanie. Mąż jej wszelkie czynione mu przez komunardów propozycje zabezpieczenia rodziny stale odrzucał, twierdząc, że walczy jedynie dla idei. Wreszcie niezgodny z prawdą jest opis rzekomego wrzucenia zwłok Jarosława Dąbrowskiego przez wersalczyków w płomień gorejącego budynku; wódz Komuny, śmiertelnie ranny na barykadach w d. 22 maja 1871 r., przeniesiony został przez towarzyszy do poblizkiego domu i tam życie zakończył; pochowany jest w katakumbach cmentarza Père Lachaise.

Konkurs na operę.

Światowej sławy opera Metropolitan w New-Yorku rozpisala konkurs na najlepszą operę z tekstem w dwóch językach, z nagrodą 10,000 dolarów (20,000 rubli, 50,000 koron). Termin konkursu upływa z dniem 1 stycznia 1910 roku, ale zapewne przedłużony będzie do 1 maja 1910 roku. Trzeba nadesłać partycję orkiestralną i wokalną z tekstem w dwóch językach (jeden światowy), z pseudonimem, w osobnej kopercie zapieczętowanej imię i nazwisko. Do konkursu mogą stawać także opery dawniejsze, byle autorowie ich żyli jeszcze.



Podwodna automatyczna łódź torpedowa, z przyrządem, przecinającym siatki ochronne.

*) Wincenty Kosiakiewicz. „Z powrotem”, pamiętnik współczesnego człowieka, Warszawa, 1908



Grupa biorących udział w przedstawieniu „Dwór królewicza Władysława” oraz „Prolog”, z prof. J. Mycielskim, Tarasiewiczem, Stanisławskim i Karpińskim, prezesem Koła. 1 rząd: Towarzysze pancerni Kaz. Grek, St. Szaszewski; Tryzna, L. Hauser; Karol Chodkiewicz, Wit. Czarnek; Zygmunt III, Wł. Palla-Bocheński; Bartłomiej Nowodworski, Tad. Wolfenbutg; Marcin Kazanowski, Kaz. Chmielewski; tow. pancerny, Z. Strzemieński. 2 rząd: Bolesław Karpiński, prezes Koła; Michał Tarasiewicz; Władysław IV, Zyg. Wioch; prof. hr. Jerzy Mycielski, Kurator Koła; Adam Kazanowski, Br. Polakiewicz; St. Stanisławski, reżyser. 3 rząd: Trefniś, Wł. Rutkowski; Jakób Sobieski, St. Wojewski; Jerzy Ossoliński, Stan. Fuchs; pazik, Józef Krzyżanowski.

Kochanow.

Przed kilku tygodniami zmarł w Paryżu w 85 roku życia były generał-gubernator wileński, Iwan Siemionowicz Kochanow, zajmujący to stanowisko od 14 stycznia 1884 roku do 1 stycznia 1893 r.,



Jan Kochanow.

następnie zaś członek Rady Państwa. Następcą Todtlebena na generał-gubernatorstwie wileńskim, poprzednio był Kochanow gubernatorem w Piotrkowie, gdzie odznaczył się, jako wybitny reakcyjnista; za jego czasów pozmieniano nazwy ulic

w grodzie trybunalskim w duchu „prawdziwie rosyjskim”. W czasie swego urzędowania w Wilnie rozwinął Kochanow szeroką i energiczną działalność rusyfikacyjną, zwłaszcza usilnie starał się o wprowadzenie języka rosyjskiego do kościoła katolickiego. W skutek zabiegów generał-gubernatora usunięty został w roku 1885 biskup Karol Hryniewiecki. Działalność Kochanowa żywo utkwiła w pamięci mieszkańców Wilna.

Pokłosie wydawnicze.

Józef Relidziński. Poezye. I. Gebethner i Wolff, 1908.

Pan Relidziński musi mieć rzetelny talent, skoro o poezjach jego, rok temu wydanych, o ile mi wiadomo, nikt dotąd słówka nie napisał, gdyby pana Relidzińskiego było można wykpić i wyśmiać, niewątpliwie znaleźliby się byli amatorowie. Nie mam czasu szczegółowo książkę p. Relidzińskiego się zająć, chcę tylko zwrócić na nią uwagę, obok bowiem wad i usterek, nieodłącznych niemal od pierwszych tomików poezyi, widzę w niej śmiały, prawowity talent, który się przez wszystko przebija, jak słońce przez chmury, jakieby były. Główną, znamionną zaletą talentu pana Relidzińskiego jest to, że samodzielnie myśli. Własne, samoistne uczucie spotyka się u poetów o wiele i nierównie częściej, niż własną, niezależną myśl. Pan Relidziński ją ma. W nim wykrzykniki młodości nie dominują nad inteligencją. Ma ją, pamięta o niej i znać, że ją kultuwuje. Pan Relidziński uczy się i dużo umie — to widać. Jeżeli jest „śpiewakiem z Bożej łaski”, to wie o tem, że Goethe, kiedy pisał „ich singe, wie der Vogel singt”, mógł dodać: i wiem wszystko, co ludzie wiedzą. Dlatego poezye pana Relidzińskiego budzą zaufanie i szacunek: ma się do czynienia z kimś, co nad sobą pracował, z kimś, co myśli poważnie. To jednak jest wartościowy podkład talentu — to nie jest talent. Talent pana Relidzińskiego rzeźbi się w szczerości, bezpośredniości, prawdzie jego duszy. Przesada, patetyczność, deklamacja, retoryka i zwykłe akcesorya młodych poezyi: wszystko tu jest, ale to jest w danej chwili życia pana Relidzińskiego szczerze. Jest patetyczny, przesadny etc. etc, nie pozuje na to. Gdy będzie starszy, zostawi to za sobą. Miejmy nadzieję. Złe wzory zostawili mu Słowacki i Krasiński, którzy deklamacji nie pozbyli się do końca życia, dobry wzór zostawił mu Mickiewicz, który się jej pozbył tak wczesnie. Niepodobna dziś przesądzać, jaką drogą pan Relidziński pójdzie, nie można tylko wątpić, że pójdzie najwłaściwszą, swoją własną. Sądzę też, że jego instrument muzyczny będzie miał wiele strun; zapowiedzią tego jest wielka rozmaitość dźwięków w jego pierwszym tomie, od egotycznych piosenek do satyry i liryk zupełnie zewnętrznych, przedmiotowych. Z tej strony wydaje mi się talent pana Relidzińskiego po-

WYPRAWA DO BIEGUNA POŁUDNIOWEGO.



O sto jedenaście mil angielskich od bieguna południowego.

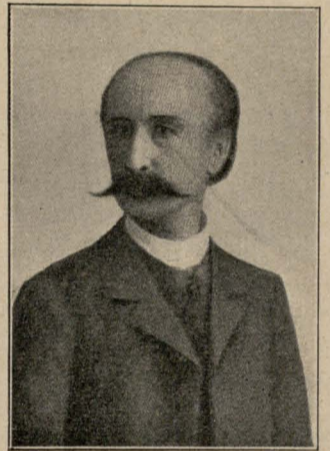
krewnym z talentem Asnyka, z którym nawet wspólny ma rodzaj spokoju, chłodu i powściągliwego wyrażenia, wraz z pewną skłonnością do klasycyzmu. Jeżeli jednak istotnie pan Relidziński ma Asnyka za jednego ze swych mistrzów, to wiele niech się od niego nauczy. Niech się przedewszystkiem nauczy rzeczy nazywać wykwintnie, właściwie, naturalnie i z dobrym smakiem. Pod tym względem bardzo często pan Relidziński grzeszy. I to jest nawet dosyć szczególnie: że zawsze szlachetne, wykwintne i dystygowane uczucia, lub podobna myśl pana Relidzińskiego tak bardzo często nie znajduje dla siebie innego wyrazu, jak tylko taki, który raz. Poezya pana Relidzińskiego jest czasem podobna do idealnej panny z małego miasta — ceni się ją, lubi i poważa — tylko gdyby mówiła więcej po światowemu, gdyby miała mniej prowincjonalizmów... Straci to, gdy się przetrze. Powitajmy młodego kolegę z uznaniem, z szacunkiem, na jakie jego „Poezye” w całej pełni zasługują; skoro urzędowa krytyka o nim milczy, nam trzeba mu wrota otworzyć. Przybył jeden więcej talent duży i niepospolity. KAZ. TETMAJER.

ZMARLI.

Ks. ADAM JAN SADOWSKI, akademik warszawski, były dziekan garwoliński z diecezji lubelskiej, wyświęcony na kapłana w roku 1866, zmarł w Warszawie w wieku lat 66. Zaczynając ostatnie lata swego życia spędził w naszym mieście,



był do Warszawy, gdzie z górą lat dwanaście przemieszkiwał. Był wieloletnim członkiem komitetu Towarzystwa Zachęty i kierownikiem szkoły. W 1891 roku wyjechał do Poznania, gdzie podjął się monumentalnej pracy artystycznej dekoracji presbiterium katedry, składającej się z cyklu sześciu olbrzymich kompozycji, oraz ornamentyki. Robił też ścienne obrazy w kaplicy seminarium poznańskiego: ojcowie kościoła i legenda o bogatym młodzieńcu. Z licznych jego kompozycji



rodzajowych największe uznanie zdobyły: bardzo charakterystyczna ilustracja do „Pana Tadeusza”: „Tak, tak, Gerwazeńku, tak, tak, Protazeńku”, oraz motyw, wzięty z pamiętników Soplicy: „List”. Utwory Łaszczynskiego odznaczały się drobiazgowym wykończeniem i poprawnym, akademickim rysunkiem. Związany bliższymi stosunkami z kolonią monachijską, pomiędzy 1872—1890 r. był on jednym z najczynniejszych artystów swojej generacji. Przy końcu życia nie wystawiał już prac swoich. H. P.

Najlepsze **Kakao, Czekolada, Cukry deserowe** **J. FRUZIŃSKI.**

„**ŚMIECH**” Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44, w Warszawie kwartalnie rub. 1, z przesyłką kwartalnie rub. 1k. 25.

Najlepsze **perfumy, mydła i wody kolońskie** **S. J. Czepelewieckiego** Żądać wszędzie.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2. „ENGLISH CLOTHING HOUSE”.

PIWO DROZDOWSKIE marcowe, kuracyjne sprzedaż wszędzie.

WARSZ. TOW. AKC. „MOTOR” poleca: Sole do kąpiel **NAUHEIMSKICH** z kwasem węglow. Sole do kąpiel **BALSAMICZNYCH** z kwasem węglow. Sole do kąpiel **JODOWO BROMOWYCH** z kw. węgl. Sole do kąpiel **SIARCZANYCH** z kwasem węglowym. Sole do kąpiel **ELAZISTYCH** z kwasem węglowym.

Składy na Meble **„SYRENA”** Krak. Przedm. 38

BIELIZNA MĘSKA I DAMSKA K. Dutkiewicz, Ś-to Krzyska 30, w Warszawie.

WYPRAWA DO BIEGUNA POŁUDNIOWEGO.



Porucznik Shackleton ze swoim psem.

gdzie prowadził rekolekcje i miewał kazania. Zostawił testament, w którym poczynił znaczne zapisy na sumę ogólną 36 tysięcy rubli, obdarowując Towarzystwo osad rolnych, fundując łóżka imienia testatora w szpitalu dziecięcym, w szpitalu Dzieciątka Jezus, zapisując stypendya dla uczącej się młodzieży, zapomógł dla podupadłych rzemieślników, na przytułek dla niezamożnych chorzych, wychodzących ze szpitali i t. d. Cześć pamięci zacnego filantropa!

BOLESŁAW ŁASZCZYŃSKI, zmarły w dniu 15 czerwca r. b., urodził się 1843 roku w Grabowie w Poznańskim. W 1865 roku wstąpił do Monachijskiej akademii, ukończywszy poprzednio studia uniwersyteckie w Heidelbergu. Akademię opuścił w 1868 roku, był w Rzymie i Florencji, w końcu 1872 roku powrócił znowu do Monachium. Zaczął wystawiać niewielkie obrazki, przeważnie kontuszowe, od 1868 roku. Około 1877 roku przy-

WOJCIECH KOSSAK
W PRACOWNI



W KRAKOWIE

U Wojciecha Kossaka.

WYWIAD W SPRAWIE PREMIUM
TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Na placu Juliusza Kossaka, tuż za mostem Zwierzynieckim na Rudawie, widnieje zdala otoczona wieńcem pięknych drzew jedna z najlepszych i najwspanialej urządzonych pracowni malarskich, którą niedawno wybudował sobie Wojciech Kossak. Ważny ten punkt w artystycznej topografii Krakowa znają dokładnie wszyscy miłośnicy sztuki kossakowskiej, ponieważ p. Wojciech obok wielu innych zalet posiada także wysoko rozwiniętą zaletę gościnności serdecznej i ujmującej. Niestrudzony w uprzejmem witaniu licznych swych gości, pozwala im swobodnie rozgaszczać się w swoim *sanctissimum* artystycznym. A myśl twórczą trzyma tak silnie i tak ją całkowicie opanowuje, że wizyty te nie przeszkadzają mu wcale w wyteżonej pracy. Najuprzejmiej pożegna on gości i, zamknawszy za nim drzwi, natychmiast staje przed stalugą, aby dokończyć jedno z tych błyskawicznych, wirtuozowskich pociągnięć pędzlem, które tak świetnie dają świadectwa jego opanowaniu techniki malarskiej i wszystkich jej środków.

Znając tę wypróbowaną gościnność pana Kossaka i wiedząc, że, przychodząc doń bez poprzedniego zapowiedzenia, niewielką mu wyrządzą dystrakcję, zapukałem pewnego popołudnia do jego pracowni. Wiodła mnie ciekawość i chęć dowiedzenia się, co znakomity artysta ma na warsztacie i w jaką postać przyoblokły się obrazy, które, zapowiedziane przez *Tygodnik Ilustrowany*, jako premium dla abonentów ku uczczeniu Rocznic grunwaldzkiej, obudziły słusznie tak powszechne i żywe zajęcie w szerokich kołach naszej inteligentnej publiczności.

Ceniąc czas artysty i swój własny, a zarazem mając przyjemną łatwość obcowania z Kossakiem, uderzyłem odrazu w sedno sprawy...

— Co słyhać z Grunwaldem, szanowny mistrzu?

— Dobrze słyhać — odrzekł, wskazując

ręką na cztery poważne płótna, które, odwrócone od ściany, okazały wyraźne już kontury tych pełnych ruchu, tryskających życiem, iście kossakowskich postaci, które niebawem wystąpią z tych płócien z całą właściwą temu artyście nieporównaną plastyką.

— Za kilka dni — ciągnął dalej Kossak, ustawiając płótna z powrotem pod ścianę — wyjeżdżam do Wiednia. Otrzymałem właśnie z dworu cesarskiego w Wiedniu pozwolenie na wypożyczenie zbroi z rekwizytorni teatru nadwornego. Wyobraz sobie z łatwością, co to za skarb dla malarza, który przede mną otwarto. Jadę, wybiorę, co należy, i, wróciwszy, zabiorę się do pracy.

— Znając szybkość pańskiego pędzla, nie sądzę, aby potrwała ona zbyt długo — zauważyłem.

— Istotnie, spodziewam się wykończyć te obrazy do września. Kiedy tylko przygotowania ukończę, robota pójdzie piorunem — dodał z tym samym odcieniem radosnej energii, która go czyni tak sympatycznym.

— Czy wolno poznać treść obrazów dokładniej, niż to możliwe z samych tylko pospiesznych szkiców węglem? — zapytałem dalej.

— I owszem! Pomysły mam już gotowe, i uzewnętrznienie ich nic im już nie zaszkodzi. Cały cykl przedstawia mi się w następujący sposób.

Na pierwszym obrazie na tle pejzażu z Płockiego grupa rycerzy krzyżackich, zakutych w stal, przypatruje się drwiąco i z szyderstwem, jak knechci i pacholki prowadzą dziewczuchy polskie z powiązanymi rękami i ładują na wozy zrabowany dobytek, gotując się do powrotu z jednej z tych wypraw, które nazywały się „misyą cywilizacyjną i chrześcijańską” Krzyżaków.

Na drugim obrazie będzie przedstawiony hołd Kurfirsta Wielkiego na placu Zamkowym w Warszawie przed Władysławem IV. Sądzę, że najlepiej będzie zatytułować słowami: „Perfidya pruska”.

Trzeci obraz przypomni widzowi tę chwilę, kiedy pod Gravelotte Bartki polskie, usły-

szawszy dźwięki: „Jeszcze nie zginęła”, które zagrały im orkiestry pruskie, rzucali się, jak szaleni, w wir najzacieklejszej walki, okupując krwią swoją nowy tryumf oręża pruskiego. Obraz to smutny, i doprawdy nie wiem, jak go nazwać...

Wreszcie czwarty obraz stanowić będzie *pendant* do pierwszego. To samo okrucieństwo, które widzieliśmy tam, u tych rycerzy stalowych, ujrzymy tu, u żandarmów, opiętych w ciasne mundury, jak eskortują skazanych na wygnanie Polaków, jak wykonywają barbarzyńskie zlecenia swojego rządu. To — rugi pruskie.

— Istotnie, to cykl, pomyślany wspaniale. Dar, godny wielkiej rocznicy — zauważyłem, olśniony plastyką i dokładnością, z jaką Kossak widzi już to wszystko, co we wrześniu przyrzeka pokazać nam na płótnie.

— Tak, te dzieła pochłaniają mnie. Włożę w nie całą duszę i dam w nich wszystko, co mam w sobie najlepszego.

— Wielkie to słowa, szanowny panie. Wielkiej też rzeczy kają się one spodziewać.

Na stalugach jeszcze dwa płótna, podmalowane zaledwie, a już wywierają wrażenie. Zapytany, objaśnia mi Kossak, że są to dwa *panneau* do zamku Zamoyskich w Jazłowcu w Siedleckiem. Na jednym założyciel rodu Zamoyskich, Floryan Szary, ugodzony trzema grotaami w bitwie pod Płowcami, leży, konając, w obliczu króla Łokietka, któremu na zapytanie o wielkość cierpienia odpowiada historycznymi słowami: „mniej to boli, niż zły sąsiad!” Obraz zapowiada się wspaniale. Na drugim wściekła szarża piątego pułku ułanów pod Kuflewem, na którego czele leżą, jak wicher, dwaj młodzi Zamoyscy. Oba dzieła będą niewątpliwie nowym wzbogaceniem bogatej skarbnicy sztuki kossakowskiej.

Obok mnóstwo rzeczy zakończonych, bardzo zajmujące i z punktu widzenia techniki malarskiej bardzo trudne dzieła, polowanie w Antoninach z chartami, grupa panów w czerwonych surdutach i w cylindrach na głowach na tle doskonałego lasu. Bardzo interesujący i subtelny portret kobiety, i t. d., i t. d. — i.

PROFILE LITERACKIE.

LEOPOLD STAFF.

O, wypracować sobie świat podniebny
I chcieć weń wszystkich drogich i kochanych
Wwieść, w szlak gwiazdzisty drogi mleczno-
srebrnej,

I chcieć ich widzieć radością pijanych,
W zorze, płonące słoneczną pożogą,
Chcieć spowieć trudom i troskom wyrwanym,

A nie móżdż w kraj ten wykochany z trwożą,
W tę chwałę, kędy wszystkie troski bledną,
Wprowadzić z swoich kochanych nikogo!...

Te strof kilka, te kilka dźwięczących, jak
dzwon rozkołysany, [tercyn, wyjętych z po-
e natu „Mistrz Twardowski, 5 śpiewów o czyn-
nie” (1902),



Leopold Staff.

jednego z najoryginal-
niejszych z y c h
pomysłów w
w poezji
współczes-
nej, poematu
w treści
swej filozof-
icznego, a
nawskroś
przesyceno-
go liryz-
mem, najle-
piej charak-
teryzują
autora.

„Ja urodziłem się mścicielem męki, ja,
Mistrz Twardowski”...—to brzmi, jak pierwszy,
potężny akord „Króla Ducha”: „Ja, Her Ar-
meńczyk, leżałem na stosie”... Ale to tylko
połowa duszy poety, rwąca się do czynu, mocna,
żywiotowa, pragnień wielkich pełna... Cóż, kie-
dy najpiękniejszy fragment tej „pieśni o czyn-
nie” to rzewna modlitwa o oddalenie czynu:

Odsuń mi, Panie, na jesień żywota
Dzień mego czynu... Oto stoję w wiosnie,
A karmią wiosny jest dzieła tęsknota!...

Takiej rozterki nie znali ni Konrad, ni
Kordyan, ni Irydyon, ni Jeremi. Oni bowiem,
jeśli nie mogli marzeń swego żywota w ciało
przyoblec, to tylko dlatego, że natrafili na
przeszkody nieprzeparte *poza sobą*, nie zaś
w *sobie* samych, jak dzisiejsi pieśniarze...

Twórczość swą rozpoczął Staff od „Snów
o potędze” (Warszawa, 1901). I wystąpił, jako
kował mityczny, co ciska „bezkształtną masę
kruszców drogocennych” na „twarde, stalowe
kowardło”, by na niem wykuć dla siebie ser-
ce, „serce hartowne, mężne, serce dumne,
silne”...

Bo lepiej giń, zmiążdżone cyklopowym razem,
Niżbyś żyć miało, własną słabością przeklęte,
Rysą chorej niemocy skażone, pęknięte...

I oto powiało z tego niewielkiego zbior-
ku jakimś świeżym prądem, pośród powszech-
nej wówczas dążności do uwielbienia Nir-
wany. I nie przywiązywaliśmy wagi do tego,
że najpiękniejsze wiersze w tym tomiku (np.
„Zimowe, białe sny”, lub „Zmierchem i jesie-
nią”) są przybyszami właśnie z błękitnej kra-
iny marzenia, nie zaś z oblanej krwawą pożo-
gą wschodu dziedziny czynu. I nie zwróci-
liśmy bliższej uwagi, że w cyklu „Sny o po-
tędze”, programowym, bo tytułowym dla całej
książki, więcej „snów”, aniżeli „potęgi”...

„Potęga” bowiem istnieje tylko w marze-
niu, w tej niedostępnej dla oka ciekawych,
szczelnie osłoniętej od świata zewnętrznego,
nieprzebranej w bogactwa Golkondzie duszy
artysty, czy poety. Zaczarowane ogrody Ar-
midy, których nie ujrzyć tępym oczom niepo-
wołanych.

Słuchajcie, zgromadzeni, słowa, które gloszę!
Skarb ten daje najwyższe, najczystsze rozkosze
Służenia jemu życiem swoim bezkorzystnie.
Skarb ten zna nieskalaną, najwyższą, bez granic,
Dziewiczą, czystą dumę nie służenia na nic!

Tak woła wielkim głosem do szarego
tłumu nędznych „zjadaczy chleba” bohater tra-
gedyi p. t. „Skarb” (1904), Strażnik Niezłom-
ny. Utwór to symboliczny, którego „czas
i miejsce wypadków obojętne, może *nigdzie
i nigdy*, może w nas i codzień”. A przywodzi
na myśl z utworów Słowackiego, którego Staff
obrał sobie za mistrza pod wielu względami,
„Lillę Wenedę”: nie tylko bowiem Dziwna, ka-
planka i strażniczka skarbu tajemniczego, Ro-
zę przypomina mocą natchnienia i niezłomno-
ścią ducha, ale i charakterystyka ogólna zbio-
rowej duszy obrońców zamczyska wywodzi się
od nieszczęsnego rodu „pół-rycerzy żywych”,
Wenedów.

A skarb? „Niewierni nie ujrzą Nic”, bo
ujrzeć nie chcą, bo ujrzyć nie są godni. I oto
gdzie szukać należy przyczyny rozłamu du-
chowego w twórczości Staffa. Daremne usi-
łowania! Nie przerobić ludzi w aniołów. Nie
pozostaje więc nic innego, jak odgrodzić się
od świata rzeczywistości, jeszcze głębiej po-
grążyć w podziemiach duszy skarb swój, skarb
nieskalany.

To też głównym *leitmotiw*'em późniejszych
zbiorów poezji, jak „Dzień duszy” (1903),
„Ptakom niebieskim” (1905), aż do ostatniego,
„Gałąź kwitnąca” (1908), jest „odjazd w marzenia”:

Uchodź, śnie, z życia, pijanego nudą,
Uciekaj w dale bez kresu i końca!
Zamieniać siebie wiecznie z każdą złudą
To żyć dzień każdy w skrach nowego słońca!

„Gdziebądź, byle w bezkres” — stało się
godłem poety, który sam siebie nazywa „ba-
jeczny ptakiem dalekich lotów”. A przede-
wszystkiem—od ludzi do natury, by rozpląnąć
się duszą w jej czarach, w jej olśniewających
wyobraźnię bogactwach, w jej pszczelnej sło-
dycz i kwietnej woni, a potem—w świat hel-
leński, w świat sztuki, co nie zna rozdźwięku
między poezją a czynem.

Te dwa kierunki odlotu w bezkres uwi-
doczniają się zwłaszcza w „Gałęzi kwitnącej”,
w której pod hasłem owidyu-
szowem: „Sidera, nigrissimi
Ethiopi digitis demonstrata, non
nigrescunt” (Gwiazdy wskazane
palcami najczarniejszego Murzy-
na, nie czernieją) zebrał Staff
najpiękniejszą więź swych na-
tchnień poetyckich.

I tu raz jeszcze stwierdził,
że jest prawdziwym wirtuozem
formy. Trudno było o tem wątpić,
kiedy jeszcze w „Snach o po-
tędze” czytało się, w wierszu
p. t. „Słota”, taką przedziwną
zwrotkę:

Deszczem mży brudna, nudna
słota,
Miarowo pluszcze i chlupota
W rytm nieustanny, monotony,
Jakby żebraka jęk przedzgonny.

Wszystko obiepia mokra chmura,
Szara, wilgotna mgła ponura...
Sennym chlupotem mrzy szaruga,
Leniwa, ociężała, długa...

Zapewne, poezje Staffa nie przemawiają
może do serca, niemasz w nich nuty uczu-
ciowej, ale za to jakże czarują wyobraźnię,
grążąc duszę w nastrój marzycielski i smętną
zadumę. Może to do pewnego stopnia abdy-
kacja ze „Snów o potędze”, potędze bezpo-
średniego czynu. Ale pozostaje moc natchnie-
nia, która wywalcza Staffowi jedno z najpo-
czetniejszych miejsc w Parnasie naszym dzi-
siejszym.

I to nie tylko—poezie lirycznemu. I w dra-
matach bowiem, a raczej może poematach dra-
matycznych, autor „Skarbu” zdobywa sobie
uznanie znakomitem odczuciem i odtworze-
niem epoki, ruchliwą migotliwością tła, bo-
gactwem akcesoryów i pogłębieniem psycho-
logicznem postaci. I to zarówno w „Godi-
wie” (1906), osnutej na posępnej, a zarazem
poetycznym niezmiernie podaniu średniowiecz-
nem, jak i w wydanem niedawno „Igrzysku”
(1909), które ma za tło panowanie Dyoklecya-
na, ową epokę przełomową, i przeciwstawi-
nie dwu światów: szalejącego w zbytkach i roz-
puście, a pomimo to nudzącego się pogań-
stwa i młodego chrystyanizmu, który dziś jesz-
cze odnosi tylko, w aureoli męczeństwa, mor-
alne zwycięstwa, ale niebawem ma zatknąć
krzyż na Kapitolu.

Tak przedstawia się „gałąź kwitnąca” twór-
czości Staffa: wróży ona niechybnie, że kie-
dyś, może niezadługo, z kwiatów tych obfity
plon owoców zbierzemy.

LEOPOLD STAFF:

Dziewicze brzozy.

Z CYKLU: „GAŁĄŻ KWITNĄCA”.

Dziewicze brzozy, srebrne korą,
Liść sieją złoty w szmaragd traw,
Przez sieć gałęzi modrą morą
Prześwieca nieba skłon i staw.

Pogodą rano lśni polana,
Cisza opieszcza smukłość drzew,
Dygotem liści rozszeptana.
Żdźbła trawy kłoni lekki wiew.

Tak cicho jest i słodko wszędy,
I tak przedziwny wkoło świat,
Jakbyś przed chwilą przeszła tędy,
Musnąwszy trawy skrajem szat.



„Strażnik Niezłomny”, rysunek St. Wyspiańskiego do „Skarbu” L. Staffa.



I zapraszał do wnętrza sadu.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:**U N I A** POWIEŚĆ LITEWSKA.

Zastrzega się prawo przedruku. 26)

— O kierunkach, o prądach, o ludziach mówić można, gdy się zdarzy sposobność. O szczegółach robót przeszłych i przyszłych—prawie nikomu. Chyba w wypadkach porozumienia się wodzów—ale to ci tymczasem niepotrzebne. Jeszcze z Chmarą powtórzyliśmy to sobie. Odstłaniać całą swą robotę—dyabła warte.

Kazimierz zaostrzył spojrzenie jakimś dziwnym uśmiechem:

— Czy to są zasady... demokratyczne?

— Wszystko jedno: zasady działacza. Nie śmiej się, Kaziu—mówię ci rzeczy cenne.

— Bardzo wujowi dziękuję, ale ja nie widzę wcale, w jakiej okazji mógłbym użyć tych przepisów. Naturalnie, że wszystkiego każdemu powiedzieć nie można. Jednak w działaniach publicznych jawność i szczerłość bywa zbawienna, a często i obowiązująca.

— Nie w naszych warunkach.

— To jest: wobec istniejącego biurokratycznego rządu?

— Nie tylko. I rodaków trzeba prowadzić na pasku, często z zawiązanymi oczyma. Inaczej—rozkrzyczą się i rozleżą, dobrodzieju mój.

— To wuj zaleca spiskowanie na dwie strony?

— Nazwij to sobie, jak chcesz. Zobaczysz kiedyś, że innego sposobu niema.

Kazimierz wzruszył lekko ramionami i znowu przerwał rozmowę. Pan Apolinary, zniechęcony próbami, uciekł się jeszcze do jednego pomysłu:

— Podobno jest w pociągu wagon restauracyjny?

— Jest; widziałem, wsiadając.

— To pójdźmy tam; jużbym coś przetrącił; wagon pobudza mi apetyt.

To się udało. Nie tylko dostać było można w restauracji różnych napojów i przekąsek, ale na następnej stacji wsiadł do wagonu niespodziewanie pan Wojciech Gzubski, człek przyjazny, otrzaskany z polityką warszawską, świadek niejednego tryumfu pana Apolinarego, wielbiciel jego talentów.

— Wszelki duch Pana Boga chwali!—zawołał Gzubski radośnie—ja tu zabrnąłem w interesie do dzikiego kraju, aż proszę—takie spotkanie!

Zasiedli obaj odrazu do biesiady w zwy-

kłem i przenośnym znaczeniu: do wódki i słodkiej gawędy.

— Skądże to, jeżeli wolno...?—zagadnął Gzubski.

— Powracam... ze Wschodu—zaczął tajemniczo pan Apolinary.

Kazimierz wymknął się do swego przedziału i zadumał się samotnie.

XVII.

Pięknie jeszcze było w okolicy Rarogów, chociaż poranki srebrzyły się już szronami, a pola pożęte zbladły nieco i zasnuły się opalową pajęczyną „babiego lata”. Opodał od pałacu, ku lasom, po kraju, niby dla zabawy oka uprawionym tu i ówdzie, mazażka pól coraz częściej plamiła się wydłużonym prostokątem ciemno-rudej roli, świeżo zoranej, i można było schwytać na tym pracowitym uczynku szarego oracza, pełznącego, jak przemyślny robak, za konikiem bułanym, za sochą swą starożytnego, rzymskiego kroju. Pod cichem, jeszcze wesołem niebem działały się wysoko przeglądy wojsk skrzydlatych przed zamorską wyprawą: uszykowane

w ostry grot, śmigały kaczki po linii prostej; ważyły się w powietrzu bociany powolną zawieruchą wielkich krzyżów.

Wioska rozdwojonym różańcem chat okrywała grzbiet wzgórze, przewita, jakby na święto, zielenią z czerwonymi gronami jarzębin. Na podwórku, między największą we wsi chatą a kolumnowym świrnem stał powozik dworski wyprzężony; konie w szorach, ale rozkiełzane, wyciągały wybrednie słodkie główki koniczyny ze sporej więzi, ofiarowanej im na podmurowaniu świrna, między drewnianymi słupami, gdzie i woźnica, leniwie zapatrzony na piękną chatę, siedział, przegryzając poczęstunek chłopskiego bogacza, Jusupa Żukiela.

Wybitny ten ziemianin zaprosił panią Krystynę, powracającą z lasu, na podwieczorek. Apetyt młodej pani, choć podniecony przechadzką, zbieraniem grzybów i owoców, nie starczył na wyczerpanie piastowskiej iście uczy, zastawionej na stole, dosuniętym do okna. Przy stole siedziała Krystyna i panna Zubowska, na ławie pod ścianą Jusupas Żukielis i leśnik Sidorkiewicz. Usługiwały żona i najmłodsza córka gospodarza.

Pomimo usiłowań Krystyny, aby ożywić rozmowę, biesiada była uroczysta i upływała przeważnie w milczeniu. Żukielis rozumiał zaledwie po polsku, a pani Krystyna nie mówiła płynnie po litewsku; przy rzadkiej wymianie zdań Sidorkiewicz, człek dworski, przychodził z pomocą, jako tłumacz. Gospodarz, bokiem do zastawionego stołu, siedział na ławie, oparty plecami o ścianę, a poważną, nieruchomą twarzą zwrócony ku izbie. Od łysego szczytu czaszki spływały bezbarwne włosy symetrycznie dwoma strumieniami na kołnierz ciemnej, sztywnej kapoty. Nie jadł nic, popijał tylko czasem herbatę ze szklanki, postawionej na brzegu stołu, i przegryzał cukrem, jakby na znak, że bierze udział w uczcie; ale głównym jego zajęciem był patryarchalny, baczny przegląd, jak się odbywa porządek ugoszczenia.

Świetlica chaty, wymieciona wzorowo, była zupełnie przyjemnym pokojem. Obrazy święte pokrywały ściany, zegar bijący, skrzynie rzeźbione, ławy i krzesła miały swą treść estetyczną, a oszklona szafa, pełna malowanych farfurów, znęcałaby do bliższego ich przejrzania etnografa i starożytnika. Żukielis nie zwracał uwagi na te urządzenia stałe, lecz na okazanie gościom, że chata im rada wspaniale. Więc jednocześnie prawie kobiety domowe postawiły na stole zupełną z żabielanej boćwiny, pachnącą dymem wędzonki, i cały stos pieczonych kurcząt, i misę ogórków, i plaster miodu, spływający wonną patoką na mosiężną misę. Stanął na osobnym stole lśniący samowar wśród mnóstwa szklanych talerzyków, na których rozłożono konfitury z wisien, z malin, z ożyn, z czarnej porzeczki, z tataraku... Ukazywały się jeszcze sery tłuste, jedne zachowujące kształt spłaszczonego worka, inne lepione w gromółki; wędliny suche, streszczone w smaku; dzban chlebowego kwasu... Nadciągały dostatki przerażające, gdyby ich wszystkich choć spróbować należało. Ale stary Żukiel nie przymuszał gości do jedzenia, nie zapraszał nawet. Tylko kiedy Krystyna dobierała

czegoś na talerz, skłaniał wdzięcznie głowę i przymilał do niej siwe spojrzenie.

— Ot i pięknie...

Panna Zubowska fachowy uczyniła przegląd konfitur, próbując i chwając każdy gatunek. Sidorkiewicz jadł nieco wstydliwie, odsunawszy się w kąt izby, ustawivszy na ławie pełny talerz i kubek z kwasem. Żukielis podał mu całą misę wędliny.

— A mnie cóż? dziękuję wam, dosyć.

— Bierz dla dzieci.

— A kiedy już tak...

Przyjął „gościńca” i zawinął w chustę.

Pani Krystyna po spożyciu kurczęcia ze śmietaną i trzech ogórków z miodem, wstała żywo od stołu.

— Już nie mogę. Dziękuję wam serdecznie, sąsiedzie.

Powstał i Żukiel, skłonił się i poprosił panią, aby obejrzała sad.

Pod jabłoniami, już obranymi, albo jeszcze noszącymi na sobie ciemno-lakierowany, twardy, na zimę przeznaczony owoc, stało ze czterdzieści uli ramowych, w kształcie małych domków, malowanych każdy inną barwą.

— Jakby maleńka wioska! — zawołała Krystyna. — Dlaczego to każdy ul innego koloru?

— Żeby się pszczoły nie myliły, kiedy wracają do domu — objaśnił Żukielis.

I zapraszał do wnętrza sadu dla okazania wewnętrznych urządzeń uli. Ale Krystyna wolała pozostać na podwórku i patrzeć przez płot, jak Żukiel odchyłał daszki i okazywał ramy, pełne przezroczyściego złota, inne ciemniejsze, zamieszkałe już przez owady. Pszczoły krążyły czarną aureolą około głowy jego odkrytej.

— Nie boi się ukąszenia — rzekła Krystyna do Sidorkiewicza.

— Wiadomo, takiego czarownika żadna nie ukąsi!

Dobry czarownik zbliżył się do płotu, przy którym stała Krystyna, miał do niej dość długą przemowę po litewsku, a kończąc, skłonił się nisko, czyniąc widocznie jakąś zaszczytną, czy poddańczą propozycję. Ale Krystyna zrozumiała tylko coś o pasiece, coś o szczęściu — i zwróciła się do Sidorkiewicza po tłumaczenie.

— To on grabinię chce przyjąć do „bitnikowstwa” *) pasieki, zeb’ jemu szczęście przyniosłaśby.

— Niby jak? co mam odpowiedzieć?

— A już tak, że trzeba przyjąć.

— Przecie z tej pasieki musi być duży dochód?

Sidorkiewicz objął osadę pszczelną zamysłonem spojrzeniem:

— Musi będzie rubli trzysta... A taki jemu bitnika na szczęście trzeba.

Krystyna przyjęła zatem, ale znowu zapytała zaufanego leśnika, czy nie wypada wywdzięczyć się jaką ofiarą pieniężną.

*) „Bitnikowstwo” oznacza wspólność pasieki. Bartnik kowieński przybiera często wspólnika, na szczęście, zakładając pasiekę. Inną formą bitnikowstwa jest rzekoma darowizna połowy istniejącej już pasieki osobie, którą chce się uczcić. Taka ofiara ogranicza się do dowolnego podatku z pasieki, oddanego „bitnikowi”.

— Uchowaj, Boże! Tożby jemu krzywda była. I nie dawaj, grabini, tutaj ani kopiejki, bo może gospodarz pogniewać się.

Po przeglądzie chaty i sadu okazał Żukielis wnętrze świrna, gdzie zgromadzony był zapas lnu z lat czterech w oczekiwaniu lepszej ceny. Len zajął Krystynę jeszcze żywiej, niż inne dostatki: brała w ręce szare pasma, porównywując, które włókno cieńsze, które lepiej czesane. Aż uśmiechnął się do niej Żukielis:

— Wiadomo, kobieca rzecz.

I jął wykładać o gatunkach płótna, wyrobionego w domu; odwinął rękaw kapoty dla pokazania, jak przedniego gatunku nosi koszule, przypomniał obrus, zasłany do podwieczorku, wytoczył ze świrna ogromne zwoje gotowego materiału, a za sadem wskazał kilka długich, wązkich pasów, rzuconych, jak chodniki na łące: tam wiatr bielił płótno.

Pożegnano się nareszcie, oświadczając wzajemne uszanowanie i przyjaźń. Gdy wsiedły obie panie do powozu, Sidorkiewicz umieścił tam dwa koszyki z grzybami i orzechami, plon wycieczki do lasu, a Żukielis uparł się, żeby panie zabrały ogromny plaster miodu w misie, owiniętej płótnem, niby zadatek dla współniczki z pałacu. I Krystyna, obdarowana, wesoło rozrzewniona, oddalała się po ulicy wioski od pięknej chaty, od dobrych spojrzeń Żukiela i Sidorkiewicza.

Panna Zubowska rozwodziła się jeszcze podczas jazdy nad doznaną gościnnością, Krystyna zaś mało odpowiadała, gdyż zapadła jej do głowy myśl, której nie chciała tymczasem powierzyć starszej przyjaciółce, tak bardzo trwożliwej od pewnego czasu. Gdyby zaprosić pana Kazimierza Rokszyckiego do tej chaty Żukiela, gdzie len jest jakby w swej stolicy?... Za blisko od Rarogów — i gdzieżby on mieszkał? Gdzie on teraz przebywa i dlaczego jeden tylko list pisał przez te dwa tygodnie? Sidorkiewicz prawie codziennie zdaje raport, że listu niema... Przegalopowawszy wyobraźnię przez różne przypuszczenia i projekty, Krystyna odezwała się nagle i niecierpliwie:

— Wszystko jest niepodobieństwem na tej naszej Litwie.

— A toż co, Krysiu? I ty zaczniesz na Litwę narzekać?

— Żle powiedziałam. Trudno kobiecie być człowiekiem.

Panna Zubowska stuliła tylko ramiona, a Krystyna zapadła w dalsze rozmyślenia posępne.

Powóz zbliżał się do parku w Rarogach i wjechał na trakt, prowadzący do stacyi kolei żelaznej. Krystyna odwróciła się całą osobą od parku, przeglądając pustą drogę w odwrotnym do jazdy kierunku.

— Stamtąd On musi powrócić, Karuś! i to wkrótce, natychmiast! Inaczej ta zaraza z Rarogów rozlezie się po całym kraju.

— Ależ przesadzasz, Krysiu!

— Nic nie rozumiesz, Karuś! — rzekła pani Krystyna i uprzejmie objęła towarzyszkę, ale oczy jej, utkwione w przeblyskujący pałac, pełne były gniewu i wyzwania.

MARYA RODZIEWICZÓWNA:

KOLEGA SZOLL.

3)

— Ty tylko dobrze uważaj. Radyńskich się trzymaj, do Duchasa się wkręć. Stary ma pieniądze. Może i tysiąc fajgli, a może i więcej. Wybierzesz, jak z własnego kufierka, byleś dobrze do nich się wziął. Szoll u Duchasa mieszkał, do Łodzi poszedł na większy zarobek, jak tu roboty zbrakło.

— No, a jakież ten Szoll? Duży, mały, stary, młody?

— Duży, niezgrabny, wołowaty. Lat ma pewnie ze czterdzieści, taki głupi na gębę i powolny w języku. Ot, taka tramwajowa szkapa. No, masz w ręku dobry interes, ino go nie zmrnuj.

— Albo to frajer!

— A pamiętaj! Połowa moja!

— To się wie!

— Co sobota obrachunek, a za miesiąc powinieś skończyć!

— Będę to się tyle czasu robotą zarzynał dla majstra, psia krew. Albo bym wytrzymał!

— Toś zuch! Kończ prędzej!

Że ludzi przybywało do sali, więc zaczęli mówić ciszej i pili; aż się pospali, na stole w pół leżąc.

Rankiem Niekrasz kości miał jakby porzetrącane, głowę ciężką, ramiona sztywne. Klnąc, ruszył do roboty, ale przez drogę nagał sobie na rozum i z dobrą miną stanął do warsztatu.

Muskuły jego, od pracy odwykłe, zwątlące nędzą, głodem i złem życiem, sprawiały mu nieznośny ból, odmawiały posłuszeństwa.

Zaciskał zęby, z pod oka śledził, czy majster nie uważa, i krzepił się myślą, że niedługo tego. Znowu na obiad tylko wody wypił, mało co się odzywał, bojąc się bryznąć tajonem rozdrażnieniem. Ale Radyński tego dnia wychodził parę razy na miasto do klientów, majstrowa miała pranie, Adolf był ponury, bo trzeźwy. Nikt na czeladnika nie zwracał uwagi.

O ósmej, gdy wychodził, wszedł Duchas. Przyniósł jakąś tokarską robotę i rzekł:

— A macie to kąć do spania i wikt?

— Ale, cztery pokoje od frontu i kolację z szampanem w „Europie”! — zaśmiał się szyderczo Niekrasz.

— Bo to u mnie po Szollu miejsce jest w izbie, to można się zakwaterować.

Niekrasz podziękował skwapliwie, myśląc, że istotnie takich głupców nie spotkać na świecie. Wprost, samochcąc leżli w ręce.

Poszli razem ze starym na Leszno.

Tokarz miał suterene obszerną, ciepłą, a tak w niej było czysto i porządnie, że pomimowoli Niekrasz zapomniał o swych złych zamiarach i odczuł wielkie zadowolenie i radość zwierzęcą z dobrego legowiska. Myśli mordy i rabunku zniknęły, ogarnęła go senność i spokój.

Stary dobrodusznie, życzliwie, zaprosił go do posiłku. Strawa była ciepła, smaczna, postanie czyste przy piecu, w kącie, w izbie cicho i jasno. Włóczęga-ladaco zjadł porządnie, pierwszy raz od niepamiętnych czasów — i legł spać oddawna też pierwszy raz, rozebrany, rozzuty, nie trzęsąc się z zimna. Ostatni obraz, który mu pozostał w oczach, był tokarz u warsztatu.

Biała jego głowa, oświetlona wiszącą lampą, zgrzyt dłóta, miarowy stukot tokarni. Potem zasnął kamiennym snem.

Gdy się obudził rano, stary już gospodarzył po izbie.

— A co? Pora w drogę! — rzekł pocziwie. Mróz dziś, zda się, jeszcze lepszy! Zagrzej-że brzuch kawą. A umyj się rzetelnie i włóż na się kurtę Szolla, co tu została.

Niekrasz machinalnie usłuchał o tem myciu, choć oddawna tego nie miał w zwyczaju, a potem, pijąc łapczywie kawę i pożerając chleb, rzekł:

— Drogo zechćecie za takie wygody?

— Zarobisz, to się porachujemy. Tymczasem o tem nie myśl. Zmizerowanyś na szczęt.

— Że też takie głupce mogą być na świecie! — śmiał się w duchu Niekrasz, idąc do roboty wyspany, syty, w kurcie całej i z kawałem chleba ze szmalcem w kieszeni.

Pracował tak kilka dni; muskuły służyły normalnie, zaczął przy robocie pogwizdywać, czasami zupełnie zapomniał o celu swego tu zajęcia, wieczorami nie bywał tak bydlęco zmęczony — i nie zasypiał od razu, ale przypatrywał się robocie tokarza, rozmawiał z ludźmi, którzy przychodzili do sutereny.

Poznał dwie siostry Szolla i jego szwagrów, poznał sąsiadów z sutereny i stróża, poznał kilkoro dzieci, które u Duchasa uczyły się czytania i katechizmu. A wszyscy ci ludzie całowali starego w rękę i nazywali ojcem, dla Niekrasza byli życzliwi i przyjaźni, bo był kolegą Szolla.

Po tygodniu wiedział już wszystko, co wiedzieć potrzebował: gdzie stary trzymał pieniądze i jaki był klucz do kufierka, kiedy sutereny bywały puste, kiedy stróża nie było w bramie i kiedy stary wychodził z domu. Wszystko wiedział, tylko z dnia na dzień odkładał spełnienie zamiaru.

Jakby w nim usnęły złe instynkty. Ogarnęło go lenistwo, było mu tak dobrze, tak ciepło, spokojnie, tak niebywale inaczej, niż dotąd zawsze i wszędzie.

Gdy w sobotę otrzymał od Radyńskiego zapłatę, przez chwilę pomyślał o tej połowie, którą powinien odnieść Ignacowi nad Wisłę, ale nie poszedł do traktyerni.

— Co go mam szukać! Może hycła nakryli! — pocieszał się i wrócił na Leszno.

Gdy chciał staremu płacić za lokal i wikt, ten rzekł:

— To niepilne. Koszul sobie spraw, kamasze podzieluj, surdut kup. Rzemieślnik jesteś, nie chodź, jak jaki andrus.

I Niekrasz spełnił radę.

Niedziela wydała mu się długa i nudna. Poszedłby gdzie na piwo, ale bał się spotkać Ignaca. Przesiedział dzień w domu, śpiąc, lub grając na harmonii, pożyczonej od stróża.

Gdy nazajutrz szedł do Radyńskiego, ciągle się spodziewał spotkać Ignaca, i zaczęła go ta myśl prześladować uparcie, ciągle dręczyć.

Przy robocie, byle kto zajrzał w okno, spodziewał się, że to Ignac, na ulicy nakładał drogi i pod ścianami się przemykał, u Duchasa siadywał w kącie, by go z okna widać

nie było. Minął drugi tydzień. Gdy w sobotę wychodził z warsztatu, w ciemnym korytarzu spotkał Ignaca. Stał cuchnący wódką, zuchwaly.

— Ty, psia krew, myślisz mnie wziąć na kawał — rzekł, pięścią mu grożąc. — Dawaj moją połowę!

— Nie pyskuj, ludzie posłyszają! — odparł cicho Niekrasz. Wyszli. Ignac przekpiwał:

— Burżuj, psia mać! Lakiery, sak, krawat! Może jaśnie pan ma karetę, może do Bristolu na kolaję! I to wszystko za moje pieniądze. Myślałeś, że Ignac zapomniał?

— Mówię, nie pyskuj! — powtórzył Niekrasz, złowieszco błyskając oczami.

— Co? grozisz? Chcesz majchra skosztować?

— A ty!

Stanęli obadwa z ręką prawą w kieszeni, skupieni do skoku. Ignac się roześmiał.



Zamachnął majchrem i dźgnął z całej siły.

ST. BAGIEŃSKI

— No! Dostyc! Dawaj pieniądze.

Niekrasz dał mu trzy ruble.

— Dawaj sześć. Tyle się należy.

— To weź!

Znowu Ignac się opamiętał i zaśmiał.

— No, niechta. Oddasz potem. Chodź, postawię ci! Byłem na wsi. Pokażę ci, co za fajny dziewczuchę sobie przywozłem. Rubin da setkę.

Niekrasz poszedł. Nie wrócił na noc do Duchasa, w poniedziałek nie pokazał się u Radyńskich. Przepadł. Nowi znajomi niepokoiili się o niego, przepytawali, szukali. Zginął bez śladu

Był zmrok zimny, wietrzny, po ulicach hulała śnieżna zadymka. Niekrasz szedł Lesznem. Miał na sobie znowu łachmany, kołnierz podniesiony, kapelusz wsunięty na oczy, ręce po łokcie w kieszeniach. Był to poniedziałek, tego wieczora Duchas nigdy nie spędzał w domu i wracał późno z jakiegoś nabożeństwa. Niekrasz o tem wiedział. Okna sutereny były ciemne, w bramie pusto, bo stróż zapalał lampy po schodach. Niekrasz przemknął, jak cień, przez bramę, wsunął się w dobrze sobie znany piwniczny korytarz, namacał drzwi i począł próbować klucza, który z sobą przyniósł. Ale drzwi nie były zamknięte, otworzyły się bez szelestu. Chwilę stał w progu, bez tchu, słuchając. Izba była pusta, bezbronna.

Tedy na pamięć, oryentując się w ciemności, posunął się do kufierka, przyklękł, zaczął próbować znowu podrobionego klucza, otworzył, zagłębił rękę, szukał na spodzie.

W tej chwili poruszył się ktoś na łóżku, i senny głos spytał: Kto tam?

Niekrasz znieruchomiał, wstrzymał oddech, palce jego, już obejmujące wiadome pudełko z pieniędzmi, nie śmiały ścisnąć zdobywcy. A wtem klucz podrobiony upadł na podłogę.

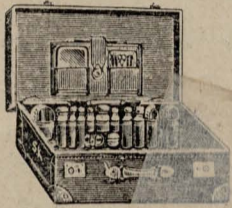
— Kto tam? — rozległo się groźnie, ktoś

się zerwał, rzucił się ku niemu w ciemności.

Niekrasz poczuł krew w mózgu, w oczach, sięgnął do kieszeni, zamachnął machem i dźgnął z całej siły. Nóż wszedł po rękojeść, rozległ się krzyk, upadek, Niekrasz nóż cisnął, porwał pudełko, rzucił się ku drzwiom, potknął się na ciełe, zerwał i uszedł. Gdy się wydostał na ulicę, był jak pijany, biegł, potem się opamiętał, skręcił w boczną ulicę, potem w inną i szedł, szedł, nie wiedząc gdzie, bez planu, byle dalej. Nareszcie zabrakło mu

sił, rozejrzał się, był w pustce, nie wiedział gdzie, ale się o to nie troszczył. Siadł na stole szyn żelaznych, rozłamał pudełko, poczuł pieniądze papierowe i metalowe, schował je do kieszeni, pudełko cisnął precz za jakiś parkan i odetchnął. Nie było pościgu; nikt go nie widział, udało się. Spotniały był, serce mu biło gwałtownie, i chwilowo dreszcz wstrząsał. Wyląkł się okropnie tam, w izbie. Nie spodziewał się tego, co się stało. Zabił staro—musiał. Dobrze dźgnął, terazby tak nie zdołał, wszystko się w nim trzęsło. (DN)

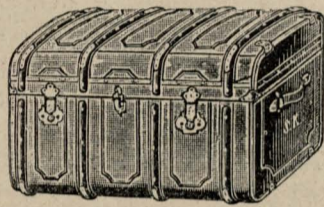
NADESŁANE.



STANISŁAW KRAUSE i S^{KA}

FABRYKA I MAGAZYN
WSZELKICH PRZYBORÓW DO PODRÓŻY

Warszawa, Królewska № 1 (róg Krakowsk.-Przedm.)
JEDYNA W KRAJU FABRYKA KUFRÓW TRZCINOWYCH.



**NAJWYTWORNIEJSZE
PERFUMY BEZSPIRYTUSU**
Z KWIATU „KONWALJA”
F. PROCHASKA PRAGA.

Dr. JAN KIEŁKIEWICZ

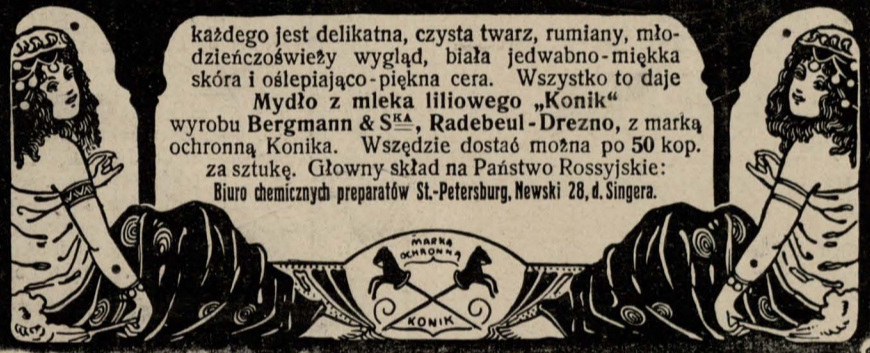
Choroby dróg moczowych. Oświetlanie pęcherza i cewki dla celów dyagnostycznych i leczniczych do 10 rano i od 5—7 p. p. Ul. NOWOGRODZKA 37

MEBLE

ZAŁĘSKI i S-ka

Warszawa, Erywańska Nr 2,
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.

SERDECZNÉM ŻYCZENIEM



każdego jest delikatna, czysta twarz, rumiany, młodzieńczoświeży wygląd, biała jedwabno-miękka skóra i oślepiająco-piękna cera. Wszystko to daje
Mydło z mleka liliowego „Konik”
wyrobu Bergmann & S^{KA}, Radebeul-Drezno, z marką ochronną Konika. Wszędzie dostać można po 50 kop. za sztukę. Główny skład na Państwo Rosyjskie:
Biuro chemicznych preparatów St.-Petersburg, Newski 28, d. Singera.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

ZDROWIE niezniszczalne można pozyskać przez ćwiczenia psychofizyczne, opisane w nowym dziele WINCENEGO LUTOSŁAWSKIEGO p. t. „ROZWÓJ POTEGI WOLI”, wydane nakładem Gebethnera i Wolffa. Cena w oprawie rub. 1.20.

**KSIEGARNIA
GEBETHNERA I WOLFFA**

w Warszawie

poleca:

WYBÓR POEZJI

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.



Surga

Dostać można wszędzie.

KALODONT

NIEZBĘDNY

KREM DO ZĘBÓW

zbadany przez urzędy lekarskie.

(Wiedeń 3 czerwca 1887 r. i Paryż 3 kwietnia 1890 r.). Przy użyciu zęby pozostają czyste, białe i zdrowe.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja

Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłodna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Poleca własnego wyrobu **Kakao** w proszku, **G. G. LARDELLI** Czekoladę **Mleczną Unique**, **Czekoladki Deserowe**, oraz Wyroby Cukiernicze.
Boduena 5. Nowy-Świat 27.

W. CYBULSKI i S-ka

Telefon 60-29

Warszawa, Nowo-Senatorska 7.

Wyroby Siodlarsko-Rymarskie i Sportowe.

**MAGAZYN KRAWIECKI
SZWALBE SACHS^{KA}
ANGIELSKIE PALTA; GARNITURY
GOTOWE I NA OBSTALUNEK
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17.**

GABINET ŚWIATŁOLECZNICZY

D-ra ROBERTA BERNHARDTA

ordynatora szpitala św. Łazarza

WARSZAWA, FOKSAL 15. TELEFON 14.54.

Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Rentgena, Finsen-Kromayer'a, Radium i elektrolizą, Arsonizacja. Choroby weneryczne.

**Magazyn Sukien i Okryć Damskich
Władysławy Kwiatkowskiej**

Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)

Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Zaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

**FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE
ORGANY, MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 17**

Dr JAN LATINIK

ordynuje od maja do października w KARLSBADZIE „Raphael”.

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI

Krakowskie-Przedmieście Nr 19
dom własny



MACZKA MLECZNA

IDEALNY POKARM

dla niemowląt i dla dorosłych,
dotkniętych chorobą żołądka.

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Swiat 41

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

P. K. w. Piotrkowie. Mydło przetłuszczone w tym wypadku ani pomoże, ani zaszkodzi. Jeżeli skóra jest tak wrażliwa, trzeba używać bezwarunkowo mydła obojętnego, *neutralnego*. Mydło *neutralne*, jak dotąd, wyrabia jedynie *Karpinski*. Wyśle pocztą każda perfumerya.

B. Z. w Wilnie. Z pomiędzy załączonych pudrów wyróżniają się załamami higienicznymi wytwory *Dorina* i *Violeta*. Z krajowych, puder *Delicia*, wyrobu tutejszego *Centralnego Laboratorium Chemicznego*, wyróżniający się nadzwyczajną subtelnością pyłu, przez co, przystając dokładnie do skóry, jest niedostrzegalny. Najlepiej używać białego.

K. W. w Kijowie. Żółte plamy, o których Pani wspomina, usunie stanowczo angielski krem *Dra Orgley*, piegi córeczce również wygubi, ale jeden słoik nie wystarczy. Doza jest

wyliczona dla jednej osoby. Prawdopodobnie w Kijowie dostanie. W Warszawie w każdej perfumeryi.

P. Amelii X. Tłustych kremów nie zalecamy, glicerynowe przy dłuższym użyciu żółcą skórę, jedynie *Abarid*, jako wytwór roślinny, jest kremem racjonalnym. Wcierany na noc, zjedrnia mięśnie twarzy, przez co skóra się wygładza, a przy stałym stosowaniu zmarszczki giną. Czarne punkciki w okolicy nosa momentalnie wymywa *Pureol Ponsarda*.

P. W. B. Tak zwane soki kwiatowe są to czyste esencje perfum, bez dodania spirytusu. Prawie wszystkie pochodzenia niemieckiego. Francuskie zaś prowadzi *Paszkowski* i perfumerya *Perfection*, która ma reprezentację *Abaridu*.

P. Emilii W. i innym. *Paszkowski* Marszałkowska 109.—*Perfection* Szpitalna 10. Te dwie firmy wysyłają pocztą wszystkie artykuły, zalecane przez nas. *Mercédès*.

Poleca:

Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwiu, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.



E. UNIERZYSKI

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



PASTILLES

DE

**TAMAR
INDIEN
GRILLON**

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający
PRZECIW

OBSTRUKCYI

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

SKŁADY NUT GEBETHNERA I WOLFFA

W WARSZAWIE,

Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda)

Krakowskie-Przedmieście 15

Polecają

WIEDEŃSKIE tanie wydawnictwa
nutowe w tomach

„UNIWERSAL-EDITION“

Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje *Richarda Straussa*, *Maxa Regera* i wielu innych w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.

„Universal Edition“ zastępuje niemieckie wydania *Petersa*, *Litolffa* i inne.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”

mamy na składzie

Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”

po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

piękne artystyczne teczki

do albumu „*DUCH REWOLUCYONISTA*” *A. Kamińskiego*

po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.

Do cyklu „*BOŻY ROK*” *Piotra Stachewicza*

po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.

Clère I. Podręcznik zapaśnictwa (walka francuska). Przełożył z francusk. R. Walczak. Ze 113 rysunkami. —.60
Hancock Irving. Fizyczne wychowanie w Japonii „ <i>Dzjutsu</i> ”. Przełożył J. Modzelewski. Ze 18 rysunkami. —.40
Müller J. P. Mój system, 15 minut do zdrowia. Z przedmową tłumacza. Ze 44 rys. i tablicą z rozkładem czasu. Dzieło przełożone na wszystkie niemal języki europejskie, rozeszło się w ciągu jednego roku w 150000 egzemplarzy. Wydanie nowe. —.60
Sawicki-Stella Jan Dr. <i>Hygieny panier</i> z 12 rysunkami w tekście 60 kop., w oprawie 1.—
Spiridion. Kodeks światowy, czyli znajomość życia we wszelkich stosunkach z ludźmi, na podstawie najlepszych źródeł ułożony. Wyd. nowe 60 k., w opr. —.90
Staffe Baronowa. Piękność i zdrowie, praktyczne rady wskazówki i przepisy dla kobiet. Wydanie nowe. Tłumaczenie z 39 wyd. oryginału francuskiego. 1.—
Zasady higieny, wskazówki popularne pielęgnacji zdrowia. Z oryginału wydanego przez Berliński urząd zdrowia. Wolny przekład dr. I. Świętochowskiego. Ze rys. w tekście i 2 ma tabl. litog. 70 kop. kart. —.80

Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

CZYŚCI I WYBIELA KAPELUSZE SŁOMKOWE I PANAMSKIE

SŁOMIN

Centralnego Laboratorium Chemicznego. Za pomocą tego środka oczyszcza się momentalnie kapelusz i nadaje mu wygląd nowego. Plecionka nie przetrze nie cierpi i nie twardnieje. Formę kapelusza zaraz po oczyszczeniu znaleźć można wedle upodobania.

HURTOWY I DETALICZNY
SKŁAD SUKNA I KORTÓW
LEONA MESSINGA

MIODOWA № 7

poleca modne materiały krajowe i angielskie. Na prowincję wysyła za zaliczeniem pocztowym.



**LUDEWIK SZUFA
KRAWIEC**

KRAKOW TELEFON 671

**GABINET
ŚWIATŁOLECZNICZY**

D-ra Ludwika Chybczyńskiego

Warszawa, ul. SZOPENA 1. Telefon 132-92

Leczenie chorób skóry i włosów promieniami Roentgen'a, Kromayera, radium i elektrolizą. Choroby weneryczne.

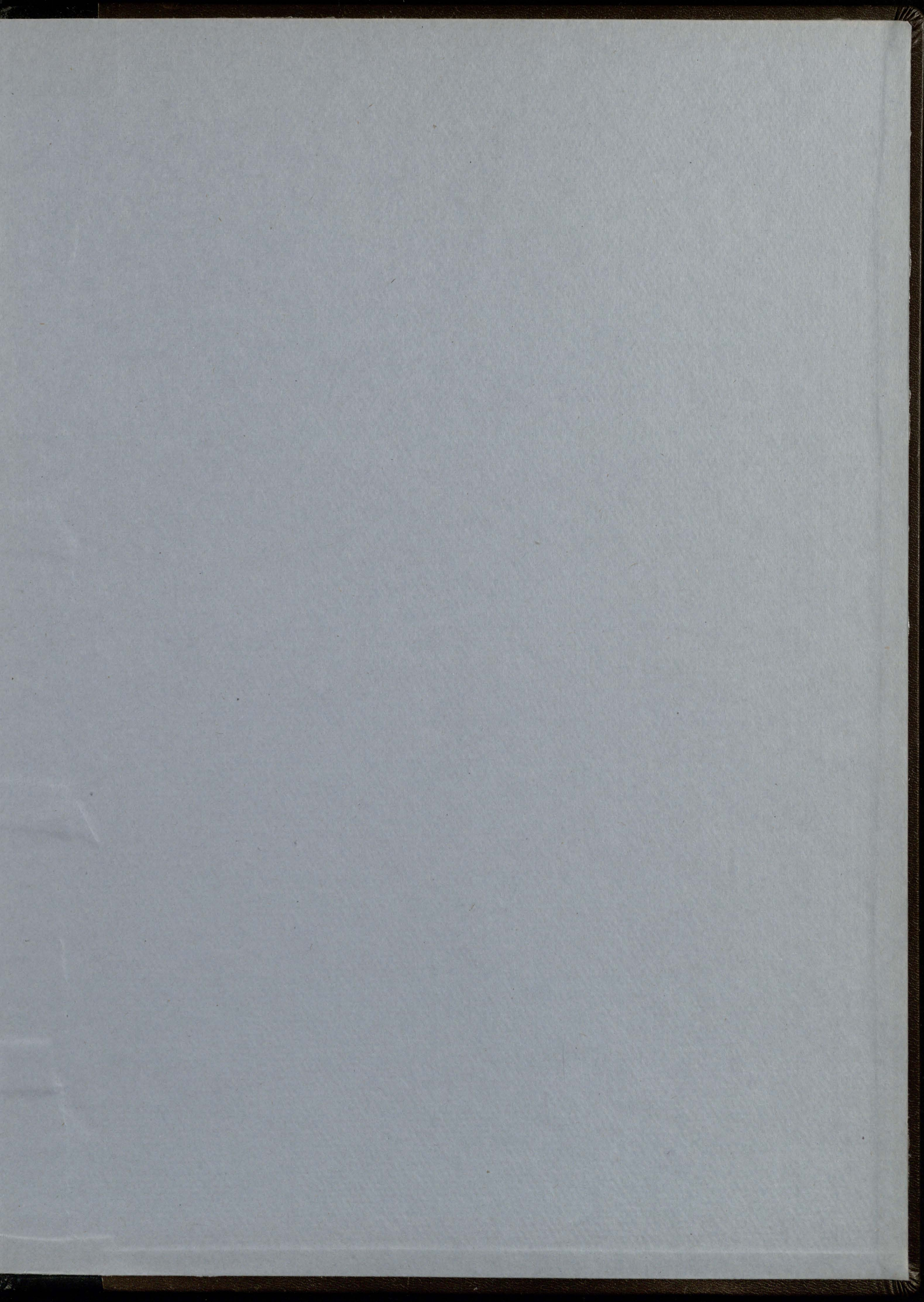
Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

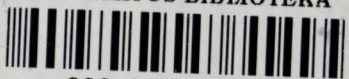
Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.



LIETUVOS MOKSLŲ
AKADEMIJOS BIBLIOTEKA



002 00250796 9

Lietuvos TSR Mokslų Akademijos
CENTRINĖ BIBLIOTEKA

P. 3130

1954

№ 1-20